

Protesty studenckie mają swoją długą historię. Ta forma wyrażania sprzeciwu przez osoby studiujące jest wykorzystywana w różnych sytuacjach. Wiele z nich to dezaprobaty wymierzona w same szkoły wyższe. Właśnie taki charakter miała krytyka działań władz Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie wyrażona przez osoby studenckie. Stanowcze reakcje uczelni wzbudzają jednak kontrowersje oraz budzą pytania o stan wolności słowa na polskich uczelniach.



Luksus dla cesarza, bunkier dla imperatora. Kaplica zamieniona na gabinet Führera, a sala tronowa na ośrodek NSDAP. Do tego podgrzewany balkon i schron gotowy w każdej chwili bronić życia Adolfa Hitlera. Zamek Cesarski w Poznaniu rzadko kiedy budzi grozę, choć zerkając w annały jego historii – powinien. To co widzimy z okna tramwaju jest wciąż żywym odbiciem upadłej potęgi III Rzeszy i niewiele osób ma pojęcie, ile pamiętają mury dzisiejszego Centrum Kultury.

2

10

Forum wymiany myśli studentów WNPID

Fenestra



Bezpłatny miesięcznik
Nr 117 | MAJ 2025

Czy jest jeszcze światełko w tunelu?

Za nami I tura wyborów prezydenckich. Jej wyniki pokazują, że po raz piąty w tym wieku nasze podzielone społeczeństwo nie potrafiło wskazać zwycięzcy za pierwszym razem. Frekwencja wyniosła 67,31%. Jakie mogą być realne skutki tych wyborów? Oprócz czekającego nas decydowania po raz kolejny pomiędzy kandydatem obozu Tuska a Kaczyńskiego, przed drugą turą nasuwa się kilka innych wniosków.

To, co wyróżnia tegoroczne wybory to rekordowa liczba startujących kandydatów.

Warto w tym momencie zauważyć, że spośród szczęśliwej trzynastki, której udało się zebrać wymagane 100 000 tysięcy podpisów, aż trzech kandydatów nie otrzymało w trakcie finalnego głosowania tego samego uznania. Mowa tutaj o Marku Wocho, Macieju Maciaku oraz Arturze Bartoszewiczu (temu ostatniemu udało się nawet zebrać około 250 tys. podpisów). Nasuwa się w tym momencie pytanie – skoro wspomniane osoby nie zebrały przy urnach zbyt wysokiego poparcia, to jakim cudem udało im się to osiągnąć chwilę przed rozpoczęciem kampanii prezydenckiej, kiedy prawdopodobnie byli oni jeszcze mniej rozpoznawalni? Bezprecedensowym wydarzeniem jest także udział Krzysztofa Stanisłowskiego – dziennikarza i założyciela Kanału Zero. Sam zainteresowany zaznaczał, że jego zgłoszenie ma na celu „budowanie świadomości społecznej”. W mediach ten fakt został oceniony w niejednoznaczny sposób. Dla jednych



Czy Rafał Trzaskowski podoła Karolowi Nawrockiemu?

był to rodzaj happeningu, a dla innych chwyt marketingowy promujący jego medium. To drugie bez wątplenia osiągnął, bowiem dzięki relacjonowaniu kampanii, debat oraz, co najważniejsze – długich rozmów z większością jego kontrkandydatów, Stanisławski zyskał nie tylko rozgłos, ale też imponujące wyniki oglądalności.

Sukcesy i porażki

O tych drugich można mówić bez końca, poczynawszy od samego procesu wyboru Rafała Trzaskowskiego na kandydata KO. Czy postawienie po raz drugi na prezydenta Warszawy było dobrą decyzją? Pozostaje nadzieja, że nie powtórzy on sytuacji jego kontrkandydata z Trzeciej Drogi – Szymona Hołowni, którego tegoroczny udział może okazać się gwoździem do trumny. Dawny prezenter „Mam Talent” uzyskał pięć lat temu blisko 14-pro-

„Można odnieść wrażenie, że posty z hasłem „[imię i nazwisko kandydata] jest zwycięzcą debaty...” prawie każda partia miała uszykowane jeszcze przed rozpoczęciem ich emisji. A ten rok wyjątkowo opiewał w aż pięć takich spotkań.

centowy wynik, plasując się na ostatnim miejscu na podium. Hołownia dał się przegonić między innymi politykowi, obok którego nazwiska w nagłówkach pojawia się słowo gaśnica i którego jego własna siostra się wstydzi – mowa o Grzegorzu Braunie. Jego wynik, który dla wielu był negatywnym zaskoczeniem to poniekąd efekt spirali milczenia. Znaczna większość jego wyborców nie przyznawała się do tego, że odda na niego swój głos, przez co sondażownie błędnie oszacowały jego poparcie. Swoją osobistą sukces odniósł Sławomir Mentzen z wynikiem blisko 15%.

A jak głosowali młodzi ludzie? Kandydat, który w jego własnym mniemaniu miał największe szanse, aby pokonać Rafała Trzaskowskiego w II turze – Sławomir Mentzen osiągnął najliczniejsze poparcie wśród wyborców w przedziale wiekowym 18-29 lat. Dlaczego ten uciekający z własnych wieców mężczyzna, który jawnie mówi o wprowadzeniu odpłatności za studia oraz określał go jako „nieprzyjemność” cieszy się takim uznaniem akurat w tej grupie wiekowej? Drugie miejsce w tej grupie zajął Adrian Zandberg, startujący z ramienia partii Razem, polityk ten to skrajne przeciwieństwo

Mentzena. Skąd się bierze tak duże zróżnicowanie głosów wśród młodych? Zauważalną tendencją jest fakt, że upada tutaj duopol PO-PiS. Dopiero na trzecim miejscu w tej grupie uplasował się Rafał Trzaskowski z 12,2% poparcia.

Można odnieść wrażenie, że posty z hasłem „[imię i nazwisko kandydata] jest zwycięzcą debaty...” prawie każda partia miała uszykowane jeszcze przed rozpoczęciem ich emisji. A ten rok wyjątkowo opiewał w aż pięć takich spotkań. Ich organizacja oraz to czy, jak stwierdził Grzegorz Schetyński w 2016 roku – „Wybory wygrywa się w Końskich” pozostaje kwestią dyskusyjną. Niewątpliwie jednak była to okazja, aby zaprezentować się szerszej publiczności. Charakterystyczne momenty tych debat to, między innymi, zachowanie Maciaka, który nie był w stanie wytrzymać bez przerwy na papierosa oraz Hołownia i Mentzen, którzy pomimo prośby o niekorzystanie z mobilnych urządzeń wstawiali posty na dawnym „X”. Pomimo że wśród wielu najlepiej ocenianych podczas tych spotkań był Hołownia, który wykorzystał swoje doświadczenie w telewizji, to osobą, która wywołała największy zamęt była Magdalena Biejat. To właśnie ona odebrała Trzaskowskiemu tęczaową flagę, którą ten szybko schował po otrzymaniu jej od „obywatelskiego kandydata popieranego przez PiS”. Podobnie też jej zasługą jest rozpętanie „afery mieszkaniowej” Nawrockiego, który podczas jednej z debat chwalił się posiadaniem wyłącznie jednego lokum.

Gdyby dało się podsumować I turę jednym zdjęciem byłby to obrazek ilustrujący mimikę Kosiniaka-Kamysza, kiedy dowiedział się o wyniku Hołowni. Mogliśmy się pośmiać z nieudolności naszych przedstawicieli w trakcie kampanii, jednak czy my sami jako obywatele jesteśmy lepsi, skoro blisko 1/3 społeczeństwa nie skorzystała ze swojego przywileju 18-stego maja?

Julia ZYGMUNT

Protesty studenckie mają swoją długą historię. Ta forma wyrażania sprzeciwu przez osoby studiujące jest wykorzystywana w różnych sytuacjach. Wiele z nich to dezaprobatą wymierzona w same szkoły wyższe. Właśnie taki charakter miała krytyka działań władz Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie wyrażona przez osoby studenckie. Stanowcze reakcje uczelni wzbudzają jednak kontrowersje oraz budzą pytania o stan wolności słowa na polskich uczelniach.

Prawo do protestu jest jednym z najszerzej komentowanych tematów z zakresu praw człowieka. Debata publiczna nad możliwością krytykowania władz i reakcjami osób rządzących na te inicjatywy nie toczy się jednak tylko na poziomie państwowym. Jej ważnym frontem są również uniwersytety, gdzie działania władz uczelni często wzbudzają kontrowersje. Jednym z głośniejszych tego przykładów jest sytuacja na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Postępowanie rektora i prorektorów wobec osób uczestniczących w protestach może być odbierane jako przykład stanowej polityki uczelni. Znacznego wydźwięku nabrały w szczególności czynności podjęte wobec protestujących w marcu.

Protest o Kamionkę

Studencki protest odbył się w trakcie Dnia Otwartego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Osoby studiujące, które brały w nim udział, apelowały o przywrócenie do użytku Domu Studenckiego „Kamionka”. Podczas wystąpienia rektora, protestujący weszli na scenę, krzycząc: „Gdzie jest Kamionka?”. Przemawiając, odwoływali się do wcześniejszego porozumienia z Uniwersytetem zawartego w wyniku okupacji akademika. W efekcie tych wydarzeń prorektor do spraw dydaktyki, prof. Paweł Laidler, zdecydował o zawieszeniu w prawach studenta sześciu osób, które wzięły udział w proteście. Ten środek dyscyplinarny niesie ze sobą daleko idące konsekwencje. Osoby zawieszone nie mogą korzystać ze stypendiów otrzymywanych od uczelni, również tych socjalnych. Zawieszenie może też doprowadzić do skreślenia z listy studentów. Osoby objęte taką sankcją nie mogą przystąpić do sesji egzaminacyjnej, a co za tym idzie, zaliczyć semestru.



Zawieszone osoby studenckie mogą zostać skreślone z listy studentów.

„Samo prawo do zgromadzeń, w tym protestów, chronione jest przez wiele aktów prawnych. Oprócz Konstytucji jest to na przykład Europejska Konwencja Praw Człowieka. O opinii dotyczącej sytuacji prawa do protestu na krakowskiej uczelni zapytaliśmy organizację Amnesty International, zajmującą się zapobieganiem naruszeniom praw człowieka.

Zwróciliśmy się do Uniwersytetu z prośbą o wyjaśnienie podjętych wobec protestujących studentów kroków. „Zachowanie tej grupy studentów nie tylko podważyło zaufanie do Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale przede wszystkim wzbudziło strach i niepokój wśród przebywających na sali nauczycieli i uczniów małopolskich szkół średnich, którzy przybyli, by zapoznać się z ofertą naukową i dydaktyczną Uniwersytetu. Działania studentów podczas Dnia Otwartego UJ niewątpliwie stanowiły czyny uchybiające godności studenta. Istnieje też duże prawdopodobieństwo, że wypełniały znamiona przestępstw” – stwierdził w odpowiedzi rzecznik prasowy uczelni, dr Marcin Kubat. Osobom studentom zarzuca się między innymi zakłócanie miru domowego. Rzecznik w rozmowie z nami stwierdził również, że „Działania podejmowane przez członków KMIP w żaden sposób nie przyczyniają się do polepszenia sytuacji materialnej społeczności studenckiej UJ, a jedynie mają na celu odniesienie korzyści wizerunkowych i politycznych przez wąską grupę osób, które cynicznie wykorzystują ważne społecznie tematy do budowania własnego kapitału, kosztem dobra wspólnego i rzetelnej debaty akademickiej”. Kubat nie doprecyzował jednak jakie korzyści wizerunkowe

mieliby odnieść protestujący.

Czy wolno protestować?

Dyskusję na temat działań uczelni wobec osób protestujących stymuluje kwestia potencjalnego naruszenia prawa do protestu, co zarzucane jest Uniwersytetowi ze strony osób działających w Kole Młodych Inicjatywy Pracowniczej. Skontaktowaliśmy się z jednym z zawieszonych studentów, Filipem. Stwierdził, że – jest to naprawdę bezprecedensowa sytuacja w historii III RP. Rektor nadużywa po prostu swoich możliwości, swojej funkcji, swojej pozycji na uczelni, wobec tego, że studenci protestują, nie zgadzają się z obecną polityką socjalną uczelni. Jest to absurdalne w kontekście właśnie wolności, wolności słowa. Po prostu prawa do wypowiedzi w ogóle – powiedział. Jak kontynuował: – Rektor kompletnie nadużywa swojej pozycji publicznej, posuwa się do tego, żeby po prostu studentów takich, którzy krytykują, nie było. Chce stworzyć precedens i otworzyć furtkę do tego, żeby jakkolwiek krytyka, jakkolwiek protest, mogły spotkać się z wydalaniem, zawieszeniem i dyscyplinarką czy wezwaniem na dywanik. W rozmowie z nami student odniósł się również do zarzutów uczelni odnośnie stworzenia sytuacji zagrożenia przez pro-

testujące osoby studenckie. Jak powiedział: – Trudno byłoby nie uznać tego protestu jako pokojowego. Nie zaburzyliśmy samego toku wydarzenia. Nadal się ono odbywało. Ludzie na zewnątrz nadal brali udział, rozmawiali z osobami z samorządu czy kół naukowych, gdzie mieli stoiska. Licealiści, ich rodzice nadal siedzieli na sali, kiedy my przemawialiśmy, krzyczeliśmy, skandowaliśmy, nawet część klasała. Mówienie o niepokojowości jest absurdalne.

Samo prawo do zgromadzeń, w tym protestów, chronione jest przez wiele aktów prawnych. Oprócz Konstytucji jest to na przykład Europejska Konwencja Praw Człowieka. O opinii dotyczącej sytuacji prawa do protestu na krakowskiej uczelni zapytaliśmy organizację Amnesty International, zajmującą się zapobieganiem naruszeniom praw człowieka. Dr Adam Płoszka, menadżer ds. badań i rzecznictwa organizacji, stwierdził, że – o ile nie może odnieść się do sytuacji bezpośrednio, to przypomina, że zgodnie ze standardem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka „państwa, a zatem także instytucje publiczne – takie jak uniwersytety – mają obowiązek nie tylko powstrzymać się od wprowadzania ograniczeń dotyczących wolności zgromadzeń. Muszą one również w sposób aktywny stwarzać warunki umożliwiające wszystkim ludziom korzystanie z niej w sposób nieskrępowany, jeśli rzecz jasna wyrażanie sprzeciwu odbywa się w sposób pokojowy.

Reglamentowana przejrzystość?

Mimo iż to sytuacja z zawieszeniem sześciu osób studenckich nabrała medialnego rozgłosu, nie jest to pierwsze działanie Uniwersytetu wzbudzające kontrowersje. W styczniu, podczas posiedzenia Sena-

tu UJ, grupa osób studenckich przedstawiała senatorom prezentację dotyczącą Domu Studenckiego „Kamionka”. Jak dowiedzieliśmy się w rozmowie z jednym z zawieszonych studentów, w wyniku rozpoczęcia transmitowania obrad przez jedną z osób prezentacja została przerwana. Na swoich kontaktach w mediach społecznościowych Koło Młodych Inicjatywy Pracowniczej tłumaczyło, że niejawność przebiegu posiedzeń jest związana z brakiem transparentności. Po tym wydarzeniu wobec jednego ze studentów zostało wszczęte postępowanie dyscyplinarne. Udało się nam uzyskać dostęp do dokumentów uzasadniających wszczęcie postępowania. W postanowieniu Komisja Dyscyplinarna jako przewinienia wymienia m.in. krzyczenie przez osobę studencką słowa „hańba”, oraz niewykazywanie wymaganego szacunku wobec osób rektora i kanclerza uniwersytetu. Należy dodać, że po wydarzeniach na posiedzeniu Senatu UJ, Koło Młodych Inicjatywy Pracowniczej oskarżyło uczelnię o naruszenie nietykalności cielesnej i stosowanie siły fizycznej wobec osób studenckich wypowiadających się na obradach.

Sytuacja na Uniwersytecie Jagiellońskim jest napięta. Kontrowersje dotyczące respektowania prawa do protestu i wolności słowa na uczelni nie ustają. Krakowska uczelnia jest jednak tylko jednym z przykładów. Debata odnośnie zakresu i ochrony studenckiego prawa do protestu toczy się również na innych uniwersytetach. Z racji na szerokie możliwości władz na uczelniach i niepewne stanowisko Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, w nadchodzących miesiącach realia w szkołach wyższych mogą nie ulec zmianie na lepsze.

Leo TARGONI

Władza patrzy, kobiety robią swoje

Choć w kwestii aborcji w Polsce politycy składali liczne obietnice, to do dziś nie wprowadzili żadnych realnych zmian. Dlatego sprawę w swoje ręce wzięły kobiety, które nie godzą się na bezczynność. Oprócz zapewniania wsparcia w dostępie do legalnej i bezpiecznej aborcji dla dziesiątek tysięcy potrzebujących, robią znacznie więcej. Zdecydowały się na krok, jakiego Polska jeszcze nie widziała.

Aborcja była jednym z głównych tematów w trakcie kampanii wyborczych zarówno w 2020, jak i 2023 roku. W trakcie tegorocznej kampanii prezydenckiej również nie zniknęła z afiszy. Niestety, podobnie jak wcześniej, pozostaje wiele do poprawy, podczas gdy realnych działań ze strony polityków wciąż brakuje. W „100 konkretach na pierwsze 100 dni rządów” zaproponowanych w 2023 roku przez Koalicję Obywatelską można przeczytać: „Aborcja do 12 tygodnia ciąży będzie legalna, bezpieczna i dostępna. (...) Decyzja musi należeć do kobiety”. Jednak pomimo upływu 16 miesięcy od zaprzysiężenia koalicyjnego rządu pod wodzą Donalda Tuska, zapowiadane zmiany w prawie aborcyjnym nie nastąpiły. Aborcja nadal pozostaje w Polsce w dużej mierze nielegalna i niedostępna. Aktywność rządzących ogranicza się jedynie do poprawy stosowania istniejącego prawa. Na ten stan rzeczy godzą się liczne organizacje proaborcyjne i feministyczne.

Dlaczego? AboTak

Organizacje, takie jak Aborcyjny Dream Team czy Prawniczki Pro-Abo, zgrupowane w ogólnopolskiej inicjatywie Aborcja Bez Granic, działają na rzecz udzielania pomocy Polkom w przeprowadzeniu bezpiecznej aborcji. Od zapewnienia dostępu do tabletek aborcyjnych po udzielanie wsparcia finansowego i organizacyjnego potrzebnego do przeprowadzenia bezpiecznego, i legalnego zabiegu poza granicami kraju. Organizacje te nie tylko pomagają w przeprowadzeniu aborcji, ale również edukują i wspierają w zakresie zdrowia reprodukcyjnego. Udzielają porad prawnych dotyczących praw seksualnych. Prowadzą też infolinie interwencyjne i pomocowe. Według raportu opublikowanego przez ABG na początku tego roku, organizacje aborcyjne w



Katarzyna Kotula - ministra, która nie boi się głośno mówić o aborcji w Polsce

„Gdy jednak 1 maja aktywistki z ruchu „Plakaciary” zdecydowały się na wyklejenie hasel potępiających brak działań ze strony stołecznych władz, policja zareagowała natychmiastowo. Zarekwirowano ich „sprzęt” i wypisano mandaty, wzywając je na komisariat.

Polsce wsparły przeprowadzenie 47 tysięcy aborcji (z czego 44,5 tysiąca z wykorzystaniem tabletek). Dane zostały zestawione z liczbą aborcji legalnie przeprowadzonych w polskich szpitalach. Według danych opublikowanych przez NFZ w 2024 roku przeprowadzono ich 896.

Na samym wsparciu „na odległość” aktywistki nie chciały po-

prześcić i 8 marca tego roku otworzyły pierwszą w Polsce Przychodnię Aborcyjną AboTak. Jak można przeczytać na ich stronie „AboTak jest pierwszym stacjonarnym miejscem w Polsce, gdzie można uzyskać wsparcie w przeprowadzeniu aborcji farmakologicznej. Chcemy, by każda osoba mogła wyjść stąd wzmocniona siostrzanym wspar-

ciem, bez traumy, wstydu i upokorzenia”. Przychodnia nie tylko udziela pomocy w przerywaniu ciąży, docelowo ma również być miejscem edukacji i spotkań poświęconych tematyce aborcji. Dodatkowo zapewni darmowe testy ciążowe i przerwy.

Strach wyjść z domu

Otwarcie AboTak, jak można było się spodziewać, nie przyniosło wyłącznie pozytywnych reakcji. Już pierwszego dnia pod przychodnią rozpoczęły się protesty, których uczestnicy rozlali czerwoną farbę przed wejściem. Na tym jednak nie poprzestali. Nieustannie pod kliniką

zlokalizowaną przy ul. Wiejskiej 9 (naprzeciwko Sejmu RP) środowiska antyaborcyjne organizują absurdalnie głośne manifestacje. Demonstranci używają wuwuzel, przystawiają trąbki do uszu osób przechodzących obok kliniki, puszczaają z głośników płacz dziecka. Dźwięki w okolicy dochodzą nawet do 120 decybeli. Stoją z banerami, na których pokazują m.in. zakrwawione płody, a także korzystają z nawiązań do niemieckich obozów koncentracyjnych, używając, chociażby hasła „Aborcja Macht Frei”. Jest to niezwykle uciążliwe dla mieszkańców, którzy domagają się działania od władz Warszawy. W petycji złożonej przez nich w urzędzie miasta można przeczytać m.in.: „W obliczu tej sytuacji czujemy się bezsilni, a nasze domy zamieniły się w miejsca, w których nie możemy odpocząć ani prowadzić normalnego funkcjonowania”. Do policji kierowane są również skargi, jednak służby ograniczają się do powtarzania, że zgromadzenia te nie są nielegalne.

Gdy jednak 1 maja aktywistki z ruchu „Plakaciary” zdecydowały się na wyklejenie hasel potępiających brak działań ze strony stołecznych władz, policja zareagowała natychmiastowo. Zarekwirowano ich „sprzęt” i wypisano mandaty, wzywając je na komisariat. Warto zaznaczyć, że plakatujących było sześć, a wysłanych do nich funkcjonariuszy około 30. Jedną z osób zaangażowanych w plakatowanie była aktorka Julia Kamińska, która relacjonowała wydarzenie w swoich mediach społecznościowych. W nagraniu ujawniła, że powiedziała jednemu z policjantów, iż czuje się zagrożona niektórymi działaniami podejmowanymi przez antyaborcyjnych protestujących. W odpowiedzi usłyszała, że w takiej sytuacji po prostu nie powinna wychodzić z domu. Zagrożeniem, do którego Kamińska się odwoływała, było oblanie wejścia do przychodni kwasem masłowym. Jest to substancja, która, choć nie jest skrajnie niebezpieczna, ma działanie drażniące i w większym stężeniu może być szkodliwa.

Niestety mimo zmiany rządu sytuacja związana z legalnością i dostępnością aborcji praktycznie pozostała niezmieniona. Politycy koalicji rządzącej w dużej mierze przypisują winę obecnemu prezydentowi, który ich zdaniem zawetowałaby każdą łagodzącą prawo związane z aborcją, w tym jej dekryminalizacją, ustawę. Tego już się nie dowiemy. Być może zmiana osoby stojącej na czele państwa przyniesie długo oczekiwaną poprawę praw i bezpieczeństwa kobiet w Polsce. Zakładnikami tego przedłużającego się impasu są po raz kolejny Polki.

Marianna CZMOCHOWSKA



Organizacje aborcyjne walczą o dostęp do aborcji w każdy możliwy sposób

Atlantyckie rozterki wyspiarzy

Choć oddali obywatelstwa Unii Europejskiej, to nie wypisali się z europejskiego kręgu kulturowego. Pozostając integralną częścią świata zachodniego, patrzą jednocześnie z rosnącym niepokojem na działania Donalda Trumpa. Jak Wielka Brytania, która od 2020 roku nie jest w Unii Europejskiej, postrzega dzisiejszą Amerykę?

Jest wiele spraw, które dzielą polityków Stanów Zjednoczonych oraz Wielkiej Brytanii. Najpierw skupmy się jednak na tym, co ich łączy. Pierwszym z politycznych podobieństw tych dwóch krajów jest przynależność do NATO i stałe członkostwo w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Jeśli chodzi o NATO, Wielka Brytania jest jednym z trzech członków tej organizacji posiadających własny arsenał jądrowy. Żołnierze brytyjscy stanowią potęgę zarówno na wodzie jak i w powietrzu. Jak podaje Instytut Nowej Europy: „Państwem ramowym w obrębie JEF, zapewniającym organizację i system dowództwa z bazą w Northwood jest Wielka Brytania”. JEF to Połączone Siły Ekspedycyjne, nad którymi przewodnictwo sprawuje po dziś dzień właśnie Wielka Brytania. W Organizacji Narodów Zjednoczonych ma ona takie same uprawnienia jak Stany Zjednoczone, Francja, Chiny i Federacja Rosyjska. Jako stały członek Rady Bezpieczeństwa jej przedstawiciele mają prawo weta.

Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej podpisało ze Stanami Zjednoczonymi wiele umów. Już w 1854 roku podpisany został traktat o wolnym handlu między Brytyjską Ameryką Północną a USA. Jak wiadomo, w późniejszych latach te dwa państwa również współpracowały ze sobą w różnych sferach – politycznie, gospodarczo i militarnie. Mowa tutaj o Wielkiej Koalicji powstałej w 1941 roku. Należały do niej Stany Zjednoczone, Wielka Brytania oraz ZSRR a zadaniem tych państw było wspólne pokonanie hitlerowskich Niemiec. Rok po ich kapitulacji, a więc w 1946, padło słynne określenie „żelazna kurtyna”. Sformułował je Winston Churchill, premier Wielkiej Brytanii w trakcie II wojny światowej i wieloletni przywódca brytyjskich Konserwatystów. Kilka dekad później, zwrot Zjednoczonego Królestwa w kierunku neoliberalizmu pogłębił relacje gospodarcze z USA, stanowiąc znamienny



Brytyjski premier Keir Starmer jest zmuszony balansować między dwoma gigantami gospodarczymi, USA i Unią Europejską.

”Co w takim razie dzieli Wielką Brytanię i USA? Na przykład sprawa Palestyny. W praktyce nie jest ona autonomicznym państwem, pomimo porozumień zawartych w Oslo w 1991 roku. Stany Zjednoczone stanowczo odrzuciły ten pomysł, jednakże Wielka Brytania uznała Państwo Palestyńskie. Podobnie postąpiły w minionych miesiącach Hiszpania i Irlandia; kraje członkowskie UE.

przykład tzw. „specjalnych relacji”, łączących oba mocarstwa.

W XXI wieku Brexit zbliżył Zjednoczone Królestwo i USA, szczególnie na płaszczyźnie gospo-

darczej. 8 maja 2025 roku podpisana została kolejna umowa handlowa między tymi właśnie państwami. Jak podawała „Rzeczpospolita”: „W porozumieniu handlowym pomię-

dzy USA i Wielką Brytanią utrzymano wynoszące 10 proc. cło bazo- we na brytyjskie produkty. (...) Zwiększyć się ma za to dostęp do brytyjskiego rynku dla amerykańskich produktów rolnych. (...) Towary z USA mają też być odprowadzane w Wielkiej Brytanii w ramach szybciej ścieżki celnej”. Widać więc, że relacje gospodarcze tych dwóch państw pozostają dobre mimo wywołanych polityką Donalda Trumpa turbulencji w światowym handlu.

Co w takim razie dzieli Wielką Brytanię i USA? Na przykład sprawa Palestyny. W praktyce nie jest ona autonomicznym państwem, po-

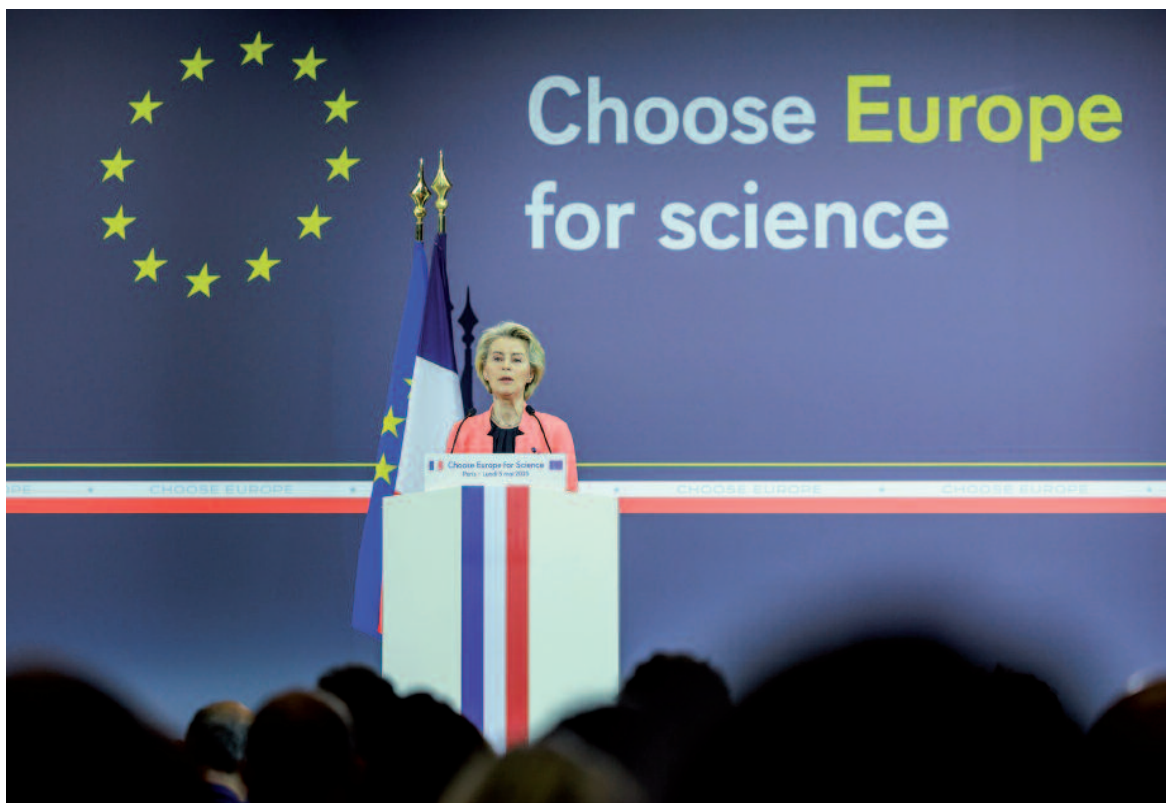
mimo porozumień zawartych w Oslo w 1991 roku. Stany Zjednoczone stanowczo odrzuciły ten pomysł, jednakże Wielka Brytania uznała Państwo Palestyńskie. Podobnie postąpiły w minionych miesiącach Hiszpania i Irlandia; kraje członkowskie UE. W przemówieniu opublikowanym na oficjalnej stronie rządu brytyjskiego napisano: „Należy dołożyć wszelkich starań, aby stworzyć warunki do negocjacji, które zapewnią suwerenną, żywotną i wolną Palestynę, obok bezpiecznego, pewnego i wolnego Izraela, uznając obawy dotyczące bezpieczeństwa i prawo do samoobrony każdego z nich”. Rząd Wielkiej Brytanii pragnie utworzenia dwóch państw na terytorium dawnego Mandatu Palestyny. Polityka Prezydenta Donalda Trumpa odnośnie do przyszłości tego regionu zdaje się być zgoła inna.

To samo tyczy się wojny w Ukrainie. Wielka Brytania wraz z Unią Europejską nie przestała pomagać tym, którzy bronią swojego kraju. Pośród wielu deklaracji Wielkiej Brytanii przede wszystkim warto wyróżnić porozumienie zawarte 16 stycznia dotyczące stu- letniego partnerstwa tego państwa z Ukrainą. Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen podczas Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa podkreśliła: „Przyszłość Ukrainy to także przyszłość Europy”. Jest to dowód zbieżności brytyjskiej i europejskiej perspektywy bezpieczeństwa w obliczu rosyjskiego ekspansjonizmu.

Na przykładzie wojny w Ukrainie, poniekąd słuszne jest stwierdzenie, że w kluczowych kwestiach geopolitycznych, Wielkiej Brytanii bliżej jest do stanowiska Unii Europejskiej niż obecnego rządu amerykańskiego. Niestabilności w stosunkach transatlantyckich Wielkiej Brytanii mogą mieć różne skutki dla obu krajów, w końcu są one mocarstwami jądrowymi i stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa.

Oczekiwane przez zwolenników Brexitu pozytywne skutki zbliżenia gospodarczego Wysp ze Stanami Zjednoczonymi pozostają w sferze marzeń. Państwa członkowskie UE wciąż stanowią najistotniejszy segment wśród partnerów handlowych Wielkiej Brytanii. Opuszczenie wspólnego rynku naraziło brytyjskich przedsiębiorców oraz zwykłych obywateli na bezrobocie, inflację, wzrost kosztów życia i wydłużenie łańcuchów dostaw, co skutkowało niekiedy pustkami na półkach. O powrocie do wspólnoty nie ma mowy, natomiast nieprzewidywalność USA pod rządami Trumpa, skłania rząd Zjednoczonego Królestwa do spoglądania w stronę odrąconej uprzednio Unii.

Nicole KRAKOWSKA



Unia Europejska może być dla Wielkiej Brytanii niezbędnym partnerem w zmiennym świecie.

Kryzys realnego Trumpizmu

Nałożenie przez USA cel na większość państw świata 2 kwietnia miało stanowić Dzień Wyzwolenia, prowadzący do odbudowy amerykańskiego przemysłu. Inne kraje, rzekomo okradające Amerykę poprzez nadwyżki w handlu, miały ponieść koszty cięć podatków w USA. Polityka gospodarcza Trumpa okazała się jednak niepopularna. Większość Amerykanów straciła wiarę w jego gospodarcze talenty. Nad światem zawisło widmo recesji. Czy MAGA narzuci swoją gospodarczą rewolucję? Jakie mogą być skutki tego eksperymentu?



Ogłoszony przez Donalda Trumpa Dzień Wyzwolenia okazał się początkiem turbulencji na światowych rynkach.

Stany Zjednoczone są od początku XX wieku największą gospodarką świata. Dzięki korzystnemu położeniu, stabilności wewnętrznej i bogactwom naturalnym, Ameryka zdołała wyprzedzić wiodące mocarstwa Europy pod względem poziomu życia i postępu technicznego. II wojna światowa pozwoliła USA nie tylko zażegnać ostatnie objawy Wielkiego Kryzysu, ale i zdominować kapitalistyczny świat. Przeciętny biały Amerykanin mógł liczyć na poziom życia znacznie wyższy niż ten, o jakim mogli jedynie marzyć jego przodkowie w Europie. Ameryka była absolutnym hegemonem przemysłu i rynków finansowych.

Ten stan rzeczy nie mógł jednak trwać wiecznie. W okresie powojennym kraje Europy Zachodniej i Japonia doświadczyły cudów gospodarczych, osiągając porównywalny poziom życia z USA. Amerykańskie firmy musiały mierzyć się z coraz większą konkurencją. Pomimo trudnych lat 70., pełnych zawirowań politycznych i gospodarczych, Ameryka zdołała obronić swoją pozycję gospodarczą. Jednocześnie Stany Zjednoczone były pionierem w rozwoju elektroniki, kładąc podwaliny pod przyszłe sukcesy gospodarcze. Choć pozornie doskonała trajektoria dawała nadzieję na nową erę amerykańskiej wyjątkowości, zmieniająca się gospodarka nie tworzyła nowych szans dla wszystkich. W wyniku neoliberalnych reform globalizacja przyspieszyła. Całe społeczeństwo robotnicze straciło źródła dochodów, przegrywając z korporacjami przenoszącymi pro-

”Wojna handlowa Trumpa uznawana jest za główną przyczynę spadku jego poparcia wśród obywateli. Niektóre sondaże wskazują na to, że mniej niż 40% Amerykanów ocenia pozytywnie jego działania.

dukcję do państw rozwijających się. Kolejni przywódcy Ameryki nigdy nie stawili czoła społecznym konsekwencjom tego załamania.

Cła – cudowny lek?

Drzemiące w amerykańskim społeczeństwie niezadowolenie z globalizacji i rosnącego rozwarstwienia społecznego od 2016 roku skutecznie wykorzystuje Donald Trump. Jego koalicja wyborcza, opierająca się na białych mężczyznach z klasy

robotniczej oraz części spauperyzowanej klasy średniej, przejęła kontrolę nad Partią Republikańską. Mimo dwóch impeachmentów, licznych procesów i nieudolnej walki z pandemią COVID-19, Trump zdołał powrócić do Białego Domu. W każdej ze swoich kampanii prezydent USA obiecywał przywrócenie Ameryce dawnej wielkości. W 2024 roku Trump zarysował pozornie jasną drogę do tego celu: odzyskanie pozycji lidera światowego przemysłu.

Najważniejszym narzędziem rewolucyjnej ekonomii Trumpa okazały się cła. Choć był ich zwolennikiem już w latach 80. XX wieku, to mało kto spodziewał się wojny celnej na skalę globalną. Nawet pierwsza kadencja Trumpa i ówczesna wojna handlowa z Chinami nie przygotowały rynków finansowych na wstrząsy sejsmiczne w Waszyngtonie, jakie miały nadejść. 1 lutego Trump wdrożył środki nadzwyczajne, rzekomo w odpowiedzi na napływ fentanylu do USA. W rzeczywistości jednak luka prawna umożliwiła mu rozpoczęcie globalnej wojny handlowej bez zgody Kongresu. Pierwszymi ofiarami nowych cel stały się Kanada (25%), Meksyk (25%) i Chiny (10%). Stało się tak wbrew zapisom wynegocjo-

wanej przez Trumpa umowy handlowej z sąsiadami USA z północy i południa w trakcie jego pierwszej prezydentury.

Gra o sumie zerowej

W kolejnych tygodniach z Białego Domu napływały sprzeczne sygnały, a wśród Amerykanów pojawiły się pierwsze przejawy zwątpienia w zasadność polityki nowej administracji. Nawet najwięksi pesymiści nie byli jednak przygotowani na wydarzenia z 2 kwietnia. Tego dnia Trump ogłosił pakiet cel wymierzony we wszystkie gospodarki świata, określając swoją decyzję Dniem Wyzwolenia Ameryki. Wszystkie kraje zostały objęte 10% cłem, natomiast te z nadwyżką handlową wobec USA zostały „ukarane” znacznie wyższymi stawkami. Przykładowo: Unię Europejską, w tym Polskę, obłożono cłem w wysokości 20%, Wietnam – 46% i Chiny – 34%. W przypadku ChRL w wyniku eskalacji wojny handlowej cła wzrosły aż do 125%, stając się de facto embargiem.

Na reakcję rynków nie trzeba było długo czekać. Już 2 kwietnia rozpoczęło się załamanie na światowych giełdach – jednym z największych przegranych okazało się Wall Street. Choć sytuacja uległa stabilizacji 10 kwietnia, po ogłoszeniu 90-dniowego zawieszenia cel, sytuacja amerykańskiej gospodarki nadal pozostaje niepewna. W pierwszym kwartale tego roku PKB spadło o 0,3%, w dużej mierze z powodu masowego gromadzenia zapasów przez firmy obawiające się załamania światowego handlu.

Wojna handlowa Trumpa uznawana jest za główną przyczynę spadku jego poparcia wśród obywateli. Niektóre sondaże wskazują na to, że mniej niż 40% Amerykanów ocenia pozytywnie jego działania. Nawet bardziej zachowawcze uśrednione dane, prezentowane przez Newsweek, wskazują, że tylko 45% wyborców popiera działania Trumpa. Jeszcze w marcu administracja Trumpa miała więcej zwolenników, niż przeciwników.

Przyszłe losy Trumpa i jego prawicowej rewolucji spod znaku MAGA zależą od wyniku wojny handlowej. Zawarte 8 maja porozumienie na linii Wielka Brytania-USA, łagodzące część wzajemnych barier handlowych, to jak dotąd jedyny układ wynegocjowany przez nową administrację. Tymczasem w portach na Zachodnim Wybrzeżu USA zaobserwowano drastyczny spadek obrotów, szczególnie w handlu z Chinami. Realne pozostaje ryzyko recesji – zarówno w Ameryce, jak i na całym świecie. Skutki ekonomicznych eksperymentów Donalda Trumpa mogą być odczuwalne jeszcze bardzo długo.

Oskar KMAK



Handel na linii USA-ChRL jest głównym frontem wojny celnej wypowiedzianej światu przez Donalda Trumpa.

Peruwiański wróg publiczny

Od historycznego przełomu do narodowego rozczarowania – pierwsza kobieta na czele Peru szybko stała się symbolem upadku zaufania do władzy. Brutalne tłumienie protestów, użycie wojska przeciw obywatelom, afera z luksusowymi zegarkami i łamanie konstytucyjnych procedur – rządy Diny Boluarte przyniosły Peru pogłębienie kryzysu demokracji. Jej prezydentura to pasmo kontrowersji, które uczyniły z niej jednego z najbardziej znienawidzonych przywódców w regionie.



: Dina Boluarte jest jednym z najbardziej niepopularnych przywódców na świecie.

Objęcie urzędu przez Dinę Boluarte było następstwem nagłego upadku Pedro Castillo – lewicowego prezydenta rdzennego pochodzenia, z którym współtworzyła tandem władzy jako wiceprezydentka. Choć nie była figurą pierwszoplanową, to właśnie ona – zgodnie z Konstytucją Peru – przejęła władzę po nieudanej próbie samorozwiązania parlamentu przez Castillo. W kraju ogarniętym politycznym chaosem, Boluarte stała się z dnia na dzień głową państwa, mimo że wcześniej wielokrotnie deklarowała lojalność wobec odsuniętego prezydenta. To przejęcie władzy bez społecznego mandatu i bez wyraźnego zaplecza politycznego od początku budziło kontrowersje. Jej prezydentura rozpoczęła się w atmosferze niepewności i napięcia, które z czasem tylko narastały.

Historia, która się powtarza

Aby zrozumieć gniew Peruwiańczyków wobec Boluarte, trzeba spojrzeć na tło historyczne. Peru od dekad zmaga się z chroniczną niestabilnością polityczną – od dyktatury Alberto Fujimoriego w latach 90., przez walki z partyzantką Świetlisty Szlak, aż po falę prezydentów oskarżonych o korupcję. Od 2016 roku żaden prezydent Peru nie dokończył swojej kadencji. Castillo, poprzednik Boluarte, został usunięty po nieudanej próbie „autogolpe” (samorozwiązania parlamentu), a jego aresztowanie wywołało falę protestów. Boluarte, dotąd jego wiceprezydentka, nie tylko nie podjęła próby pojednania, ale zdecydowała się brutalnie stłumić opór. Protesty wybuchły szczególnie wśród rdzennych mieszkańców ubogich regionów Andów, którzy domagali

”Prezydentura Boluarte została naznaczona skandalami, które obnażyły jej oderwanie od rzeczywistości. W 2024 roku wybuchła afera Rolexgate, gdy media zauważyły, że prezydentka nosi luksusowe zegarki, których wartość znacznie przekracza jej oficjalne dochody.

się nowych wyborów i uwolnienia Castillo. Rząd Boluarte odpowiedział bezprecedensową brutalnością. Wojsko i policja użyły ostrej amunicji, zabijając ponad 60 osób, w tym nieletnich. Raporty Amnesty International wskazują na „systematyczne użycie śmiertelnej siły” z wyraźnym piętnem rasowym i klasowym, skierowanym przeciw marginalizowanym społeczno-

ciom. Zamiast szukać dialogu, Boluarte sprzymierzyła się z prawicowym Kongresem, alienując znaczną część społeczeństwa. Jej milczenie wobec ofiar i brak działań na rzecz pojednania pogłębiły przepaść między rządem a obywatelami. Decyzja o stłumieniu protestów siłą nie tylko podkopała jej legitymację, ale uczyniła ją symbolem przemocy państwa wobec własnych obywateli.

li. W oczach wielu Peruwiańczyków Boluarte stała się nie prezydentką, lecz tyranką, która wybrała siłę zamiast sprawiedliwości.

Zegarki, sekrety i konstytucyjny chaos

Prezydentura Boluarte została naznaczona skandalami, które obnażyły jej oderwanie od rzeczywistości. W 2024 roku wybuchła afera Rolexgate, gdy media zauważyły, że prezydentka nosi luksusowe zegarki, których wartość znacznie przekracza jej oficjalne dochody. Tłumaczenia o „pożyczkach od znajomych” nie przekonały opinii publicznej, a prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie możliwego handlu wpływami. W marcu 2024 roku funkcjonariusze przeszukali jej

dom, a brat i prawnik Boluarte zostali aresztowani w związku z podejrzeniami o korupcję. Śledztwo wykazało również, że prezydentka posiadała co najmniej 15 luksusowych zegarków, których pochodzenia nie i wartości nie potrafiła wskazać. Odkryto też wpłaty ponad miliona soli, czyli około 1,02 miliona złotych, na jej konto bez jasnego źródła przelewów. Kolejny skandal dotyczył tajemniczej nieobecności Boluarte w czerwcu 2023 roku, gdy niespodziewanie zniknęła z życia publicznego. Z czasem okazało się, że przeszła potajemną operację plastyczną nosa, rzekomo z powodu „trudności z oddychaniem”. Nie poinformowała Kongresu o swojej absencji ani nie wyznaczyła zastępcy, który powinien tymczasowo sprawować władzę w trakcie jej nieobecności. To zachowanie uznano za naruszenie przepisów konstytucyjnych. Oliwy do ognia dołączył lekarz przeprowadzający zabieg, który twierdził, że nie otrzymał pełnej zapłaty za jego wykonanie, a przesłane środki miały niejasne pochodzenie. Te skandale, choć pozornie błahe wobec tragedii protestów, stały się symbolem arogancji władzy Boluarte. W kraju, gdzie wielu obywateli zmaga się z ubóstwem, luksusowe zegarki i sekrety prezydentki były jak policzki dla społeczeństwa.

Fasada stabilności, ruiny demokracji

Na arenie międzynarodowej Boluarte promuje Peru jako stabilny kraj z dynamicznie rozwijającą się gospodarką. Podczas szczytu APEC (Asia-Pacific Economic Cooperation) w 2024 roku podkreślała swoje zasługi: trzyprocentowy wzrost PKB, niską inflację oraz jasne reguły dla inwestorów. Mówiła o „działaniach na rzecz dobrobytu obywateli” i „pełnym zaangażowaniu w realizację wizji Putrajaya 2040”, która zakłada stworzenie do 2040 roku otwartej, dynamicznej i odpornej wspólnoty Azji i Pacyfiku poprzez wolny handel, innowacje, cyfryzację oraz zrównoważony wzrost gospodarczy.

W rzeczywistości jednak Peru to państwo fasadowe, pogrążone w korupcji i nieufności. Według sondaży, 95% obywateli nie popiera prezydentki, która nie ma własnej partii ani trwałego zaplecza w Kongresie. Jej poparcie opiera się na kruchych sojuszach z prawicą, które mogą runąć w każdej chwili. Jej kadencja kończy się w lipcu 2026 roku, lecz rosnące głosy wzywające do dymisji sugerują, że może nie dotrwać do tego czasu. Peru pozostaje krajem podzielonym, gdzie instytucje są kruche, a zaufanie do władzy niemal nie istnieje, co czyni z jej prezydentury symbol narodowej tragedii.

Weronika SZCZUKIEWICZ



Peruwiańscy rdzennego pochodzenia mierzą się z wykluczeniem gospodarczym, marginalizacją i skrajną przemocą służb.

W dobie kryzysu klimatycznego i rosnących nierówności społecznych, bogaci i wpływowi zdają się żyć w alternatywnej rzeczywistości. Gdy przeciętny obywatel sortuje odpady, rezygnuje z samochodu na rzecz roweru i liczy każdą kilowatogodzinę, milionerzy i miliarderzy rozbijają się między kontynentami bez cienia refleksji. Czy pieniądze naprawdę pozwalają już na wszystko? Nawet jeśli oznacza to ignorowanie klimatycznych faktów, racjonalnych ograniczeń, a nawet bezpieczeństwa innych ludzi?

Gdy w mediach społecznościowych rozpętała się burza wokół lotów Taylor Swift prywatnym odrzutowcem, wiele osób po raz pierwszy uświadomiło sobie skalę luksusowej rozrzutności celebrytów. Jej samolot miał w 2022 roku odbyć aż 170 lotów, emitując ponad 8 000 ton CO₂. Dla porównania: tyle średnio emituje 1 000 osób przez cały rok. Sprawa nabrała rozgłosu, bo wpisy o „teleportującej się Taylor” zamieniały frustrację w memy. Za tą ironią kryła się jednak poważna refleksja: czy naprawdę elity są ponad odpowiedzialnością?

Podobne kaprysy bogaczy prowadzą nie tylko do medialnych skandali, lecz także do realnych, często tragicznych w skutkach wydarzeń, które kosztują ludzkie życie. W 2023 roku świat ponownie usłyszał o Titanie – jednak nie w kontekście słynnego filmu czy historycznego rejsu z 1912 roku, ale za sprawą batyskafu „Titan”, stworzonego przez OceanGate, prywatną firmę kierowaną przez amerykańskiego milionera Stocktona Rusha. Projekt miał na celu oferowanie zamożnym klientom ekskluzywnych, turystycznych rejsów na dno Atlantyku, wprost do wraku legendarnego transatlantyku. Cena za bilet: ćwierć miliona dolarów od osoby. Obietnica? Przygodowy kontakt z historią, jakiego nie da się kupić nigdzie indziej. Wizja podwodnej elity okazała się bardziej złowieszcza niż ktokolwiek mógł przypuszczać. W czerwcu 2023 roku batyskaf „Titan” implotował w czasie jednej z takich wypraw, grzebiąc całą pięcioosobową załogę – w tym miliardera Paula-Henriego Nargeoleta i samego Rusha. Katastrofa pokazała z całą brutalnością, że pieniądze nie tylko nie dają nieśmiertelności, ale wręcz mogą skłaniać do ignorowania ryzyka w imię prestiżu, przygody i włas-



Katy Perry, niegdyś jedna z wielkich gwiazd muzyki pop, stała się obiektem drwin po groteskowej wyprawie kosmicznej.

nej narracji o przekraczaniu granic. Rush otwarcie lekceważył zbytnią biurokracją i opowiadał, że bezpieczeństwo to „niepotrzebna przesada” w świecie innowacji. Taka filozofia – żywcem wyjęta z Doliny Krzemowej, gdzie innowacja bywa ważniejsza od etyki – tym razem doprowadziła do tragedii.

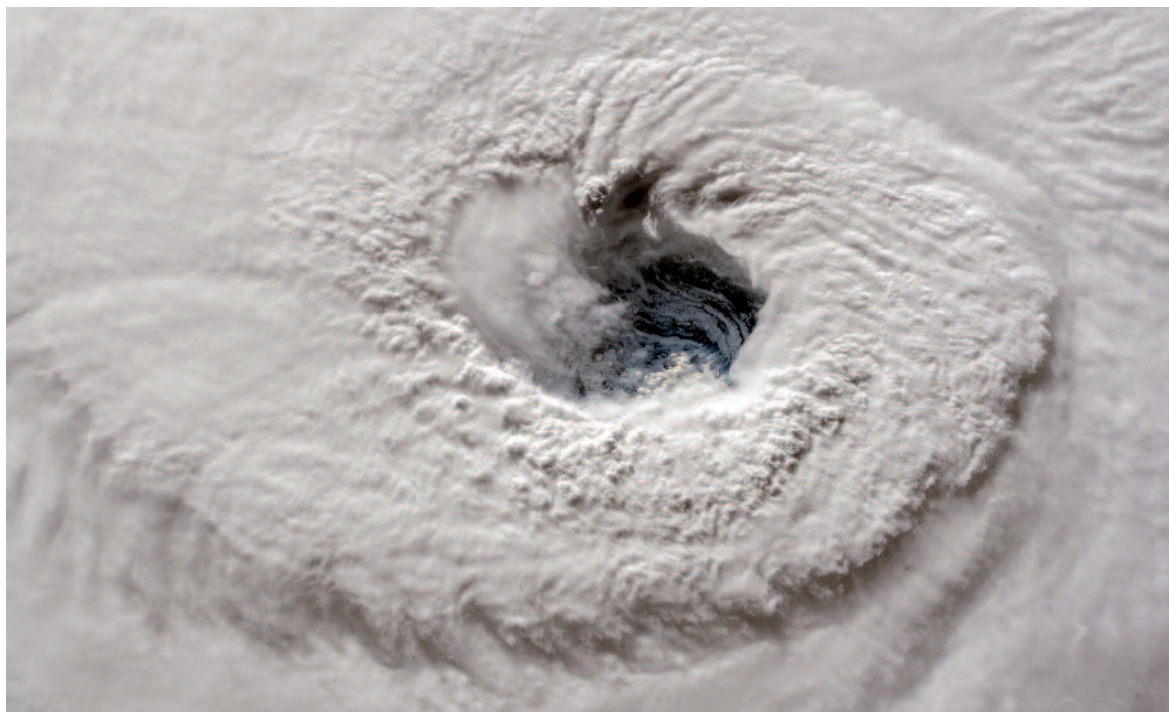
Nieziemskie pieniądze

W kwietniu 2025 roku opinia publiczna po raz kolejny została zaskoczona z powodu medialnego wydarzenia, które miało stać się symbolem postępu i emancypacji, a zakończyło się gorącą debatą o próżności, oderwaniu od rzeczywistości i etyce elit. Katy Perry, jedna z

nej. W teorii był to krok milowy – celebrowanie kobiecej obecności w przestrzeni zdominowanej dotąd przez mężczyzn, a także okazja do promocji nauki i technologii wśród młodych dziewcząt. W praktyce lot ten stał się jednak przedmiotem zmasowanej krytyki – nie tylko ze strony opinii publicznej, ale również koleżanek z branży.

najpopularniejszych artystek XXI wieku, wyleciała w kosmos na pokładzie rakiety Blue Origin jako członkini pierwszej w pełni kobiecej załogi prywatnej misji orbitalnej. W teorii był to krok milowy – celebrowanie kobiecej obecności w przestrzeni zdominowanej dotąd

przez mężczyzn, a także okazja do promocji nauki i technologii wśród młodych dziewcząt. W praktyce lot ten stał się jednak przedmiotem zmasowanej krytyki – nie tylko ze strony opinii publicznej, ale również koleżanek z branży. Koszt misji, sięgający kilkudziesięciu milio-



Skutki zmian klimatu, takie jak ekstremalne zjawiska pogodowe, dotkną nas wszystkich, niezależnie od pojemności portfela.

nów dolarów, pokryty częściowo ze środków własnych Perry i sponsorów komercyjnych, stał się punktem zapalnym. W czasach, gdy miliardy ludzi na całym świecie zmagają się z inflacją, zmianami klimatycznymi, brakiem dostępu do wody, edukacji i podstawowych usług zdrowotnych – kosmiczna podróż gwiazdy pop jawiła się wielu jako manifest skrajnego oderwania od realnych problemów zwykłych ludzi. Piosenkarka Camila Cabello, promując w tym czasie własny album, nie kryła swojego oburzenia. W jednym z wywiadów ostro skomentowała: „Nie wiem, jak można mówić o kobiecej sile, siedząc w kapsule za miliardy dolarów, podczas gdy kobiety na południu globu walczą o przetrwanie. To nie inspiracja, to luksus na pokaz”. I choć Perry nie złamała żadnego prawa, to właśnie etyczna granica – subtelna i niewidzialna – została w tym przypadku przekroczona w sposób szczególnie widoczny i bolesny.

Zjawisko przenika także do Polski, choć często przyjmuje mniej spektakularną formę. Dobrym przykładem jest budowa zamku w miejscowości Łapalice na Kaszubach – najpierw będącego nielegalną rezydencją, dziś lokalną atrakcją turystyczną przyciągającą rzesze ciekawskich. Zamek powstał bez stosownych pozwoleń, na terenie o szczególnie znaczącym przyrodniczym. Choć inwestor przez dekady ignorował przepisy, obiekt nadal stoi, a samorząd wciąż nie znalazł sposobu na naprawienie tej sytuacji. Inny kontrowersyjny przypadek to budowa luksusowego zamku w Stobnicy w sercu Puszczy Noteckiej. Choć projekt formalnie uzyskał część zgód, prokuratura prowadziła śledztwo w sprawie fałszerstw dokumentacji środowiskowej, a budowa na obszarze Natura2000 wzbudziła zauważalny społeczny sprzeciw. I jak to się skończyło??? Brakuje tu info.

Gdy zwykły Kowalski musi rozliczać się z każdego metra działki czy wiaty śmietnikowej, dla wpływowych inwestorów granice prawa stają się względne. To budzi nie tylko pytania o stan państwa prawa, ale i o etykę najbogatszych. Czy pieniądze mogą naprawdę kupić wszystko – również milczenie urzędów, pozwolenia na niszczenie środowiska, a nawet możliwość ryzykownej zabawy z życiem? Żyjemy w epoce, w której kaprys może kosztować więcej niż rozsądek. Elity mają dziś przemożny wpływ – na media, kulturę, a często również na prawo. Ich wybory nie są prywatną sprawą. W dobie kryzysu klimatycznego i narastających problemów społecznych pytanie nie powinno brzmieć: „czy mnie na to stać?”, lecz „czy świat może sobie na to pozwolić?”.

Oliwia MAZIOPA

O dezinformacji na wyspie podziałów

Piękna, słoneczna wyspa, która wraz z Polską przystąpiła w 2004 roku do Unii Europejskiej stanowi frapujący przykład namacalnych skutków kolonializmu, i nacjonalizmów. Cypr, bo o nim mowa, do dzisiaj żyje w cieniu trudnej historii. Jednocześnie jest to kraj serdecznych ludzi oraz wielu atrakcji turystycznych, kuszących przybyszów z całego świata. Wyspa, a konkretnie jej stolica Nikozja, ugościła na początku maja uczestników warsztatów G-Lens, w tym czteroosobową grupę z Polski.

Projekt G-Lens, współtworzony przez British Council, Institute of Public Affairs, Mediterranean Institute of Gender Studies, Open Space Foundation oraz Anais, zrzucił podczas trwającego w dniach od 9 do 11 maja wyjazdu uczestników z Cypru, Bułgarii, Rumunii oraz Polski. Jego głównymi punktami były międzynarodowa konferencja i warsztaty poświęcone kształtowaniu umiejętności korzystania z mediów (ang. Media literacy) oraz kwestiom dezinformacji, z naciskiem na tę powiązaną z tematyką płci i tożsamości. Zajęcia odbyły się na nowoczesnym kampusie University of Nicosia, prywatnej uczelni założonej w 1980 roku.

Wśród poruszonych tematów znalazły się kwestie, takie jak skuteczne przeciwdziałanie rozprzestrzenianiu się fałszywych narracji (szczególnie z wykorzystaniem treści powstałych przy pomocy sztucznej inteligencji), omówione szeroko przez Costasa Constantinidesa – eksperta z dziedziny mediów audiowizualnych z University of Cyprus. Etyczne dziennikarstwo, uwzględniające inkluzywne narracje, było głównym elementem wystąpienia Elli Kotzamani, uznanej cypryjskiej dziennikarki oraz przewodniczącej Cypryjskiego Komitetu Etyki Mediów.

Ze szczególną uwagą słuchaczy spotkał się panel, przygotowany przez specjalną gošcinie konferencji – Minę Dennert, szwedzką dziennikarkę i aktywistkę irańskiego pochodzenia. Dennert jest założycielką międzynarodowego ruchu #JagÄrHär (I Am Here International), zrzeczającego osoby zaangażowane w przeciwdziałanie nie-



Warsztaty dotyczyły głównie tematyki dezinformacji ze względu na płeć. Uczestnicy mieli okazję posłuchać wystąpień cypryjskich dziennikarzy i działaczy społeczno-politycznych.

„Greccy Cypryjczycy podchodzą do kłopotliwego sąsiedztwa otoczonej zasięgami strefy niczyjej w sposób bardzo zróżnicowany. Niektórzy, robią po stronie tureckiej codzienne zakupy, tańsze są tam produkty spożywcze albo benzyna. Inni, z premedytacją bojkotują możliwość „wycieczki” do drugiej części wyspy – odrzucając ją jako „wspieranie okupantów”.

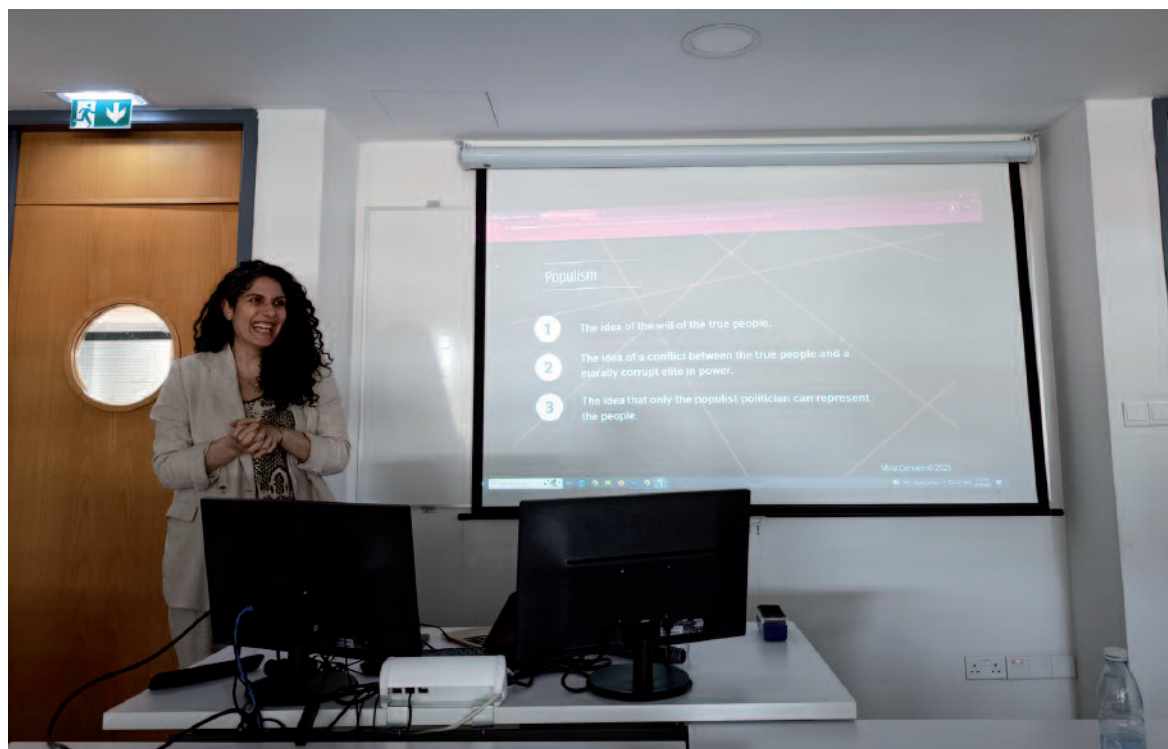
nawistnym komentarzom, szerzącym dezinformację w sieci. Jej wskazówki, szczególnie cenne dla kobiet, które padły ofiarą seksistowskich i rasistowskich ataków w sieci, a także „oskarżeń” o transpłciowość stały się przyczynkiem do ciekawych i konstruktywnych dyskusji w międzynarodowym gronie uczestników i uczestniczek. Zgromadzeni wymieniali się swoi-

mi doświadczeniami, płynącymi z ich pochodzenia, płci, orientacji seksualnej czy środowiska zawodowego.

Kwestie prawa i regulacji mediów poruszyła pod koniec części konferencyjnej Antigoni Themistocleus – przedstawicielka Cyprus Radio Television Authority. Okazją na bliższe poznanie się uczestników oraz przekucie teorii w praktykę

były warsztaty grupowe, poprowadzone przez przedstawicielki zawodowych fact-checkerów – Dimitrę Milioni oraz Venetię Papa. Młodzi adepci dziennikarstwa i twórcy media contentu mieli również szansę ponownie pracować z Miną Dennert, która podzieliła się z nimi skutecznymi sposobami przeciwdziałania dezinformacji.

Warsztaty odbyły się w fascynującym mieście i kraju. Nikozja jest od 1974 roku podzielona. Południowa część miasta jest stolicą należącej do UE Republiki Cypryjskiej, państwa powstałego w 1960 roku w wyniku uniezależnienia się wyspy od Wielkiej Brytanii. Obecnie, żyją tam przede wszystkim greccy Cypryjczycy, mówiący po grecku i wyznający przeważnie prawosławie. Nie zawsze tak było. Do



Jedną z gościń i prelegentek była Mina Dennert, szwedzka dziennikarka i aktywistka walcząca z hejtem i dezinformacją, założycielka ruchu #JagÄrHär (I Am Here International)

1974 roku w południowej części wyspy żyli również tureccy Cypryjczycy, współcześnie skupiający się na jej północy – na obszarze uznawanej jedynie przez Turcję, Tureckiej Republiki Cypru Północnego. Wybuch krótkotrwałej lecz bardzo okrutnej wojny domowej rozdzielił obie społeczności i doprowadził do inwazji sił tureckich na wyspę. W 1983 roku proklamowano powstanie istniejącego do dziś tworu politycznego, który mianem państwa określany jest jedynie w swoim obrębie oraz w Ankarze. Dopiero od 2003 roku możliwe jest przekraczanie w wybranych punktach tzw. Zielonej Linii, strefy demarkacyjnej (kontrolowanej przez siły ONZ) oddzielającej obie zwaśnione społeczności.

Na Cyprze jest dziś spokojnie. Chociaż obu stronach tej dziwnej granicy straszą opuszczone witryny i zarośnięte dachy, zasięki oraz posterunki policji, to kilka kroków od nich kwitnie życie. Gwar kawiarni i tawern, gošcinność mieszkańców, wszędybyskie koty oraz bogate dziedzictwo kulturowe, łączące elementy greckie, tureckie oraz brytyjskie, sprawiają, że Cypr i Nikozja są niesamowicie atrakcyjne dla odwiedzających, chcących poczuć powiew Bliskiego Wschodu, lecz z europejskim sznytem.

Nie oznacza to, że problemy zniknęły. Kontrowersje budzi kwestia rozliczenia i upamiętnienia zbrodni, których dopuściły się względem siebie obie strony konfliktu z lat 70 XX wieku. Masowe wysiedlenia spowodowały, że w domach należących formalnie do greckich Cypryjczyków, żyją tureccy Cypryjczycy – i na odwrót. Sprzeciw, także wśród wyznających islam mieszkańców północy wyspy, budzi nasilona migracja Turków z kontynentu (którzy pomimo podkreślanego w oficjalnej propagandzie braterstwa, nie zawsze mają po drodze do liberalnych tubylców) oraz wykupywanie tanich nieruchomości przez zagranicznych inwestorów.

Greccy Cypryjczycy podchodzą do kłopotliwego sąsiedztwa otoczonej zasięgami strefy niczyjej w sposób bardzo zróżnicowany. Niektórzy, robią po stronie tureckiej codzienne zakupy, tańsze są tam produkty spożywcze albo benzyna. Inni, z premedytacją bojkotują możliwość „wycieczki” do drugiej części wyspy – odrzucając ją jako „wspieranie okupantów”. Zapytawszy w recepcji naszego hotelu o zabytki po „drugiej stronie”, zobaczyliśmy błyskawiczną zmianę mimiki i tonu głosu u przemiłego pracownika. W reakcji na nasze słowa odparł jedynie coś w rodzaju – Jeśli NAWRAWDĘ chcecie tam iść, to jest to oczywiście możliwe...

Kacper ZIELENIAK



Zródło: fot. Kacper Zieleniak/Fenestra

Cypr łączy w sobie dziedzictwo greckie, tureckie i brytyjskie. Widać to w językowym krajobrazie wyspy



Zródło: fot. Kacper Zieleniak/Fenestra

Północna część miasta kontrolowana jest przez nieuznaną republikę Cypru Północnego



Zródło: fot. Kacper Zieleniak/Fenestra

W Nikozji na każdym kroku znajdziemy coś, co przypomina nam o trudnej historii miasta



Zródło: fot. Kacper Zieleniak/Fenestra

Meczet w północnej Nikozji. Niedgdyś był on chrześcijańską katedrą



Zródło: fot. Kacper Zieleniak/Fenestra

Według danych szacunkowych, Cypr zamieszkuje więcej kotów niż ludzi. Czworonogi są wszechobecne na ulicach tamtejszych miast



Zródło: fot. Kacper Zieleniak/Fenestra

Kościół Św. Łazarza w Larnace. Cypryjski Kościół Prawosławny jest jednym z entuzjastów „enosis” (zjednoczenia z Grecją)



Zródło: fot. Kacper Zieleniak/Fenestra

Strefa niczyja. Zielona Linia kontrolowana przez siły ONZ przebiega przez serce stolicy Cypru



Zródło: fot. Kacper Zieleniak/Fenestra

Warsztaty odbywały się na kampusie University of Nicosia

Najpierw Cesarz, potem Wódz

Luksus dla cesarza, balkon dla imperatora. Kaplica zamieniona na gabinet Führera, a sala tronowa na ośrodek NSDAP.

Do tego podgrzewany balkon i schron gotowy w każdej chwili bronić życia Adolfa Hitlera. Zamek Cesarski w Poznaniu rzadko kiedy budzi grozę, choć zerkając w annały jego historii – powinni. To co widzimy z okna tramwaju jest wciąż żywym odbiciem upadłej potęgi III Rzeszy i niewiele osób ma pojęcie, ile pamiętają mury dzisiejszego Centrum Kultury.



Ostrzelanej wieży nigdy nie odbudowano w pierwotnej formie.

” Czasy międzywojenne były dla Zamku łaskawe. Działał tu uniwersytet, którego mury opuścili chociażby matematycy mający w przyszłości złamać szyfr Enigmy. Dwie dekady później pojawił się nowy chętny do posiadania Zamku Cesarskiego. Był nim wódz III Rzeszy – Adolf Hitler.

4 00, może 500 lat albo i więcej – szacunkowo taki wiek Zamkowi Cesarskiemu przypisują przyjezdni spoza Poznania. Piaskowiec, piękny romański styl – to musi być pewnie jakaś piaskowa rezydencja, wybudowana dla książąt znanych z historii Polski, mówią. Nic bardziej mylnego.

Osiągnięcie właśnie takiego efektu miał na celu pruski architekt, który w 1905 roku – a więc w epoce pierwszej elektryfikacji – otrzymał nietuzinkowe zadanie zaprojektowania rezydencji cesarskiej wzorowanej na okres wczesnego średniowiecza. Cel: górować nad miastem i przylotować wszystko, co polskie. Udało się. Wieża zegarowa stała się najwyższym punktem miasta, a cały obiekt został zlokalizowany tak, aby tuż przy nim przebiegały najważniejsze trakty handlowe Poznania. Trudno uwierzyć, że poznański zamek i słynące z nowoczesności amerykańskie Empire State Building dzieli jedynie 20 lat. Ta pozorna przestarzałość była jednak zamierzona. Tylko w ten sposób można było wyrazić nieprzemijalną potęgę Prus.

Nasz drogi Willus

Czy poznaniacy uważali jego budowę za terror? Raczej nie. Początek XX wieku był dla Poznania złotym wiekiem rozwoju, zarówno infrastruktury miejskiej, jak i szkolnictwa. Powstało wtedy wiele znanych do dziś budynków tzw. Dzielnic Cesarskiej – obecna Aula Uniwersytecka, Collegium Maius, czy Opera. Mieszkańcy odczuwali w związku z tym pewnego rodzaju sympatię do zaborcy. Według wspomnień opisanych przez pasjonata historii zamku, Ryszarda Rybarczyka: „mówiło się o nim Wil-

lus. Za Willusia to się żyło, za Wilusia było dobrze. Poznaniacy kochali Wilhelma II”. Był to cesarz, który całkowicie przeobraził Poznań i zmienił jego funkcję. Dawniejsze „miasto-twierdza”, najpotężniejszy fort w tej części Europy, został przearanżowany na „miasto-rezydencję”. Nowa cesarska część Poznania miała być zwarta i wygodna, tak aby mogły wychowywać

się tu kolejne pokolenia sług poddanych woli cesarza.

Nowy gospodarz, wielkie sprzątnięcie

Czasy międzywojenne były dla Zamku łaskawe. Działał tu uniwersytet, którego mury opuścili chociażby matematycy mający w przyszłości złamać szyfr Enigmy. Dwie dekady później pojawił się nowy chętny do posiadania Zamku Cesar-

skiego. Był nim wódz III Rzeszy – Adolf Hitler. Po zaatakowaniu Polski we wrześniu 1939 roku, Führer postanowił przekształcić dotychczasową siedzibę cesarską w jedną ze swoich kwater. Tak więc wnętrza Zamku należało skomponować od nowa prawie w całości. Zniknęła kaplica, w której miejscu postawiono osobisty gabinet Führera. W miejscu pierwotnego ołtarza pojawił się balkon mający służyć wódtowi do przemawiania. Według legend był on wyposażony w ogrzewanie podłogowe, tak aby Hitler nie przeziębził się w okresie zimowym. W korytarzach zawitał neoklasyzm, ogłoszony naczelnym stylem nazizmu. Wódz zażyczył sobie, żeby budynek był monumentalny i budził respekt. Skoro wybrał Poz-

nań na siedzibę zastępczą swojej rezydencji w Berlinie, musiał on być jej dokładną kopią. Tak więc gabinet Hitlera był niemalże identyczny jak ten w stolicy Niemiec.

Co ważne, Führer nigdy oficjalnie do swojej siedziby nie przyjechał. Istnieją przekazy, że był w zamku raz, krzycząc i obrażając robotników za zbyt wolny postęp prac. W Poznaniu był za to Heinrich Himmler, nazywany prawą ręką Hitlera, który podczas jednej z wizyt wygłosił tu skandaliczne przemówienie, mówiąc o Żydach jako o „narodzie, który musi zniknąć z powierzchni ziemi”. Zdanie to padło w czasie zebrania ze współpracownikami, które być może odbyło się w jednej z zamkowych sal. Warto wspomnieć, że do przearanżowania wnętrza użyto piaskowca z terenów Dolnego Śląska, wydobywanego prawdopodobnie przez katorżniczo wyzyskiwanych więźniów obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Materiał ten do dziś znajduje się na ścianach dawnej prywatnej rezydencji Hitlera. Co więcej, w piwnicy pod wieżą zegarową zlokalizowano specjalnie przygotowany dla niego schron, w którym nawet po zniszczeniu zamku wódz mógłby bezpiecznie przeczekać bombardowanie. I wszystko to na nic. Niemcy upadły, wojna się zakończyła, a zamek – co prawda bez fragmentu wieży – został.

Z wieżą uleciała niemieckość

Zawieruchę wojenną Zamek przetrwałby niemal nienaruszony, gdyby nie jeden przypadkowy incydent. W trakcie Bitwy o Poznań ktoś poinformował żołnierzy radzieckich, że strzelcy wyborowi ukrywają się na wieży. W tej sytuacji Armia Czerwona przystąpiła do ostrzału, niszcząc mury budowli. Strzelców wyborowych nie było, ale dziury po kulach artyleryjskich pozostały. „Może nawet i lepiej” – twierdzili powojenni władze miasta, stojąc przed nie lada dylematem. Czy powinniśmy odbudować coś, co jest widocznym symbolem nazizmu i Hitlera, którego wojska dopiero co udało się wygnać z naszego kraju? Byłby to jednoznaczny hołd dla Niemiec. Z tego powodu ostrzelana wieża została obniżona tak, aby nie górowała już nad miastem. Na szczęście nie podjęto decyzji o zburzeniu Zamku, gdyż jego mury mogły się jeszcze Poznaniowi przydać.

Chociaż żaden władca już raczej rezydować w Zamku Cesarskim nie będzie, ten stał się domem kultury. I niech lepiej tak pozostanie, bo budowli wychodzi to na dobre. Wydaje się, że kolejnego włodarza z gigantycznymi ambicjami te 100-letnie mury mogłyby już nie przetrwać.

Kacper LAWIŃSKI



Poprawki w projekcie zamku osobiście nanosił cesarz Wilhelm II.

Nowa produkcja platformy Max jest przez pracowników służby zdrowia nazywana najbardziej realistycznym serialem medycznym w historii. „The Pitt” nie uznaje cenzury – jest bezpośredni i szczery w swoim przekazie. Widz na kilkanaście godzin przenosi się w sam środek pola walki o życie, jakim jest szpitalny oddział ratunkowy.

Seriele o tematyce medycznej cieszą się ogromną popularnością od wielu lat. Zarówno te o charakterze komediowym (np. „Hoży doktorzy”), jak i skupiające się przede wszystkim na relacjach międzyludzkich (np. „Chirurdzy” czy „Ostry dyżur”) mają wierne grono fanów na całym świecie. Nic więc dziwnego, że z biegiem lat powstaje coraz więcej tego typu produkcji, starających się przyciągnąć widzów świeżym podejściem do znanego schematu. Na ich tle zdecydowanie wyróżnia się „The Pitt” – serial, który zdobył przewagę dzięki jednemu, lecz niezwykle istotnemu elementowi: realizmowi.

Jego akcja została zlokalizowana na oddziale ratunkowym szpitala w Pittsburghu, w Pensylwanii. Cechą charakterystyczną produkcji jest to, że każdy z piętnastu odcinków odpowiada jednej godzinie z życia bohaterów – pielęgniarek oraz lekarzy medycyny ratunkowej. Widz towarzyszy im od początku zmiany aż do samego jej końca, obserwując czasami nieprawdopodobne realia pracy w amerykańskiej służbie zdrowia. „The Pitt” ukazuje nie tylko nieustanny chaos i zamieszanie charakterystyczne dla oddziałów ratunkowych, ale i różnorodność problemów, z jakimi muszą się mierzyć ich pracownicy. Nie brakuje w nim bezpośrednich ujęć różnego rodzaju urazów, ogromnej ilości krwi i rozmaitych zabiegów medycznych, takich jak zakładanie szwów czy opatrywanie rozległych oparzeń. Swoją cenną realizm serial zawdzięcza również naturalnym dialogom, dynamicznemu ruchowi kamery oraz brakowi muzyki w tle – w trakcie trwania odcinka widz słyszy jedynie głosy aktorów i dźwięki charakterystyczne dla szpitalnego oddziału.

Ogromnym plusem produkcji jest skupienie uwagi nie tylko na lekarzach, ale też na pozostałych pracownikach szpitala. „The Pitt” świetnie obrazuje ogrom pracy, z jakim wiąże się zawód pielęgniarki i ratownika medycznego oraz to, że bez tych osób oddział ratunkowy nie mógłby funkcjonować. Serial nie pomija żadnych aspektów szpi-

Bardzo ostry dyżur



Noah Wyle wcielił się w rolę głównego bohatera serialu

„Serial swoją ogromną popularność bez wątpienia zawdzięcza realizmowi, którego brakuje większości tego typu produkcji. Bez ciekawego scenariusza, wiarygodnej obsady i pomysłowego montażu, nie pozyskałby jednak aż tak dużego grona fanów.

talnej codzienności, której częścią są chociażby konflikty między pacjentami oraz pracownikami szpi-

tala, a nawet przemoc, której ofiarami padają lekarze i pielęgniarki ze strony swoich podopiecznych.

W serialu przedstawiane są bardzo ważne tematy, które dotyczą nie tylko amerykańskiej służby zdrowia, jak na przykład ogromny niedobór personelu, spowodowany niskimi zarobkami, co z kolei przekłada się na funkcjonowanie przychodni i szpitali. Twórcy nie zbagatelizowali ważnych tematów, takich jak pomoc medyczna bezdomnym czy też zagrożenie, jakie



Isa Briones – odtwórczyni roli Dr Santos

stanowią zachowania przeciwników szczepionek.

Czy dbałość o realizm nie odbija się jednak negatywnie na fabule serialu? Czy widz może poczuć sympatię względem bohaterów obserwując tylko jeden dzień z ich życia? W „The Pitt” wiernie odwzorowano realia oddziału ratunkowego, podążając za kilkoma niezwykle interesującymi postaciami. Poza głównym bohaterem, granym przez Noaha Wyle’a doktorem Michaeliem Robinavitchem, który w pracę lekarza prowadzącego wkłada całe swoje serce, widz pozna kilku innych pracowników oddziału. Łączą oni swoje siły w pomaganiu pacjentom podczas wspólnego dyżuru. Bohaterowie różnią się od siebie nie tylko stażem pracy oraz zakresem obowiązków, ale również podejściem do swoich podopiecznych, metodami działania i stosunkiem do wykonywanego przez siebie zawodu.

Na przestrzeni piętnastu odcinków „The Pitt” świetnie przybliżył nam sylwetki pracowników szpitala. Większość z nich wzbudza sympatię widza od samego początku, a pod koniec sezonu nie sposób im nie kibicować. Bohaterowie serialu to bowiem nie tylko oddani swojej pracy lekarze i pielęgniarki, ale też osoby po przejściach lub aktualnie znajdujące się w trudnej sytuacji życiowej. Ich rozmaite osobowości i ciekawa dynamika relacji sprawia, że jeszcze łatwiej jest zaangażować się w fabułę. Serial dobrze pokazuje, jak niewdzięczna i wykańczająca może być praca w służbie zdrowia i że zdecydowanie nie jest ona dla każdego. Pełna nieznanymi nazwiskami i twarzą obsada sprawia, że w połączeniu z ciekawą formą realizacji „The Pitt” to powiew świeżości, którego od dawna brakowało wśród seriali medycznych.

Serial swoją ogromną popularność bez wątpienia zawdzięcza realizmowi, którego brakuje większości tego typu produkcji. Bez ciekawego scenariusza, wiarygodnej obsady i pomysłowego montażu, nie pozyskałby jednak aż tak dużego grona fanów. Twórcom udało się stworzyć serial wywołujący u widza ogrom emocji, nieustannie trzymający w napięciu. Ale „The Pitt” to coś więcej niż tylko kolejny serial medyczny, to poruszająca opowieść o ludziach, którzy codziennie stają do walki z czasem, systemem oraz własnymi słabościami. Dzięki odważnemu podejściu do tematu i bezkompromisowemu realizmowi, produkcja ta nie tylko angażuje, ale również zmusza do refleksji nad kondycją współczesnej służby zdrowia. To serial, który warto zobaczyć, aby lepiej zrozumieć, z czym na co dzień mierzą się ci, którzy ratują ludzkie życie. Jeśli kolejny sezon utrzyma równie wysoki poziom, „The Pitt” ma szansę stać się jednym z najważniejszych tytułów w historii gatunku.

Zofia WOJEWODA

Zdjęcia: https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Noah_Wyle-2010.jpg

Zdjęcia: fot. Gage Skidmore https://www.flickr.com/photos/gageskidmore/48445093681

Trudno nam oswoić się z myślą o śmierci. Choć z każdą kolejną chwilą zmniejsza się czas przynany nam i naszym bliskim, rzadko popadamy z tego powodu w panikę. Nadal zdobywamy się na uśmiech, prowadzimy rozmowy, spotykamy się, mając jednocześnie świadomość, że gdzieś indziej ktoś właśnie żegna się ze światem. Motyw śmierci w popkulturze od dawna mnie fascynuje, a w tym roku, ku mojemu zdziwieniu, fascynacja ta przerodziła się w jedną z najlepszych produkcji, w jaką miałem okazję zagrać.

Malowany sukces



Podczas rozgrywki gracz wyrusza w pasjonującą ekspedycję

„Clair Obscur: Expedition 33” to dzieło, które śmiało można określić mianem fenomenu – jest to produkcja bezsprzecznie wyjątkowa, wymykająca się schematom i ustanawiająca nowe standardy narracyjnej odwagi.

już nikt, kogo śmierć nie dotknęła bezpośrednio lub nie pozostawiła w żałobie. Jedynym światłem nadziei dla resztek ludzkości pozostało unicestwienie artystki. W tym celu, każdego roku formowana jest ekspedycja. Szanse powodzenia są nikłe. Dotąd żadnej z misji nie udało się ani pokonać Malarki, ani powrócić z wyprawy. Kto wie, czy to nie Ekspedycji 33 przypadnie rola wybicia się ponad serię porażek.

Trudno mi przypomnieć sobie historię, która porwałaby mnie na tak długie godziny z podobną intensywnością. „Clair Obscur” od

strony narracyjnej roztacza przed graczem świat o imponującej głębi. Na wyjątkowy rezonans tej opowieści składają się przede wszystkim mistrzowsko skonstruowane postacie. Każda z nich jest pełnokrwistą jednostką, obdarzoną wyrazistym charakterem, własnymi motywacjami i emocjonalnym bagażem. Ich charaktery rozbrzmiewają w znakomicie napisanych dialogach. Naturalnych, pełnych humoru i głębokiego ładunku emocjonalnego. Znaczącą rolę w technieniu życia w tę opowieść odgrywa również obsada aktorska, wśród której wyróżniają się tak

uznane nazwiska jak Jennifer English, Ben Starr czy Andy Serkis.

Manifest wyobraźni

Szczerze mówiąc, gdy po raz pierwszy zobaczyłem zwiastun debiutanckiego tytułu studia Sandfall Interactive, ogarnęło mnie głębokie niedowierzanie. W czasach, w których rynek zalewają produkcje rażąco niedopracowane technicznie, często z trudem funkcjonujące nawet na najwydajniejszych PC-tach i konsolach, oprawa graficzna „Clair Obscur” wydawała się zbyt piękna, by mogła być prawdziwa. Całość sprawiała wrażenie pustego chwytu marketingowego, mającego jedynie przyciągnąć uwagę graczy rozczarowanych kolejnymi niespełnionymi obietnicami. Moje zwątpienie było błogosławieństwem. Myliłem się, i to spektakularnie.

Pod względem wizualnym „Clair Obscur” jawi się jako prawdziwe

arcydzieło przeziębione nieprzećiętą wyobraźnią twórców. Produkcja zdumiewa swoją różnorodnością: postapokaliptyczne pejzaże przeplatają się tu z malowniczymi, skąpanymi w świetle słonecznym lasami, hipnotyzującymi głębinami oceanów oraz monumentalnymi, surrealistycznymi podziemiami. Każdy z tych światów tętni własnym rytmem i narracją wizualną, tworząc wielowymiarowe doświadczenie estetyczne. Tę sugestywną oprawę graficzną dopełnia absolutnie fenomenalna ścieżka dźwiękowa. Zaryzykowałbym stwierdzenie: jedna z najbardziej intrygujących kompozycji gamingowych ostatnich lat. Z finezją łączy klasyczne motywy orkiestrowe z momentami groteskowymi, zaskakującymi brzmieniami muzyki elektronicznej, tworząc tym samym spójną mieszanekę różnych motywów.

Rytm pojedynku

Najbardziej intrygującym i zarazem najbardziej nowatorskim aspektem rozgrywki w „Clair Obscur” jest turowy system walki, który z finezją przełamuje schematy charakterystyczne dla klasycznych RPG-ów, wprowadzając do nich powiew świeżości i dynamicznej ekspresji. Do dyspozycji gracza oddano nie tylko rozbudowany arsenał umiejętności ofensywnych i defensywnych, opartych na zróżnicowanych żywiołach i statusach, lecz również wachlarz działań typowych raczej dla gier akcji: unik, parowanie, a nawet skoki. Dzięki temu każda walka wymaga więcej niż tylko strategicznego planowania. Gra kładzie nacisk na dokładną znajomość stylu walki przeciwnika i wycucie tempa. W praktyce oznacza to konieczność nauki choreografii ciosów – obserwacji, zapamiętywania i reagowania.

„Clair Obscur: Expedition 33” to dzieło, które śmiało można określić mianem fenomenu – jest to produkcja bezsprzecznie wyjątkowa, wymykająca się schematom i ustanawiająca nowe standardy narracyjnej odwagi. W serwisie Metacritic gra zajmuje obecnie zaszczytne, pierwsze miejsce zarówno wśród ocen krytyków, jak i społeczności graczy, pozostawiając w tyle tak uznane tytuły jak „Baldur’s Gate III” czy „The Legend of Zelda: Breath of the Wild”.

Zespół trzydziestu osób zdołał za wystyżać branżowych gigantów dysponujących niemal nieograniczonymi zasobami, lecz często pozbawionych twórczej odwagi i artystycznej bezkompromisowości. Choć w historii nie brakuje czasem irytujących niedopowiedzeń, wciąż chce się poznawać losy Ekspedycji 33, która za wszelką cenę pragnie udowodnić, że życie nie kończy się po trzydziestce. To opowieść o bunie wobec przeznaczenia, ubrana w przepiękną, malarską oprawę i podana w formie, jakiej wcześniej nie widziano.

Celem ekspedycji jest misja, mająca uratować ludzkość

Piotr RYDZ



Obsadzanie ról w hollywoodzkich produkcjach na podstawie rasy aktorów coraz częściej jest przedmiotem sporów i ożywionych dyskusji. Nie jest to jednak coś zupełnie nowego. Samo pojęcie „whitewashingu” jest zakorzenione w historii filmu. Liczne są głosy, że mimo poprawy, jest to ciągle istotny problem, z drugiej strony – pojawia się wiele opinii bardziej zwracających uwagę na odwrotny proces.

W ostatnim czasie szeroki odzew wzbudził angaż Rachel Zegler do tytułowej roli w tegorocznej „Śnieżce” i Paapy Essiedu jako Severusa Snape’a w nadchodzącej serialowej adaptacji „Harry’ego Pottera”. Jednocześnie wciąż podnosi się temat niedostatecznej reprezentacji mniejszości, co skutkuje chociażby oscarowymi standardami inkluzywności. To co chciałbym potępić na początku, żeby później pozwolić sobie na rozpatrzenie samego zagadnienia, to hejt wylewający się na konkretnych aktorów. Zamiast merytorycznej dyskusji znajdziemy w internecie mnóstwo wpisów obraźliwych, zabarwionych rasizmem i personalną agresją. To zachowanie obrzydliwe i krzywdzące wobec wszystkich aktorów.

White America

Do pewnego momentu w Hollywood rasy inne niż biała były właściwie nieobecne. Rzeczywistość Ameryki opartej na segregacji rasowej skutecznie uniemożliwiała wybiecie się komukolwiek spoza określonego kręgu. Normą były takie praktyki jak „blackface” lub „yellowface”, bazowanie na stereotypach. Przykłady można mnożyć – w kwestii charakterystyki wskazać można interpretacje szekspirowskiego „Otello”. Tytułowego Maura grali między innymi Orson Welles i Laurence Olivier. Być może najbardziej niesławnym przykładem niskiej inkluzywności stał się natomiast „Zdobycza” – film, w którym rolę Czyngis-chana powierzono na wskroś amerykańskiemu Johnowi Wayne’owi.

Stereotypy były z kolei utrwalane choćby poprzez estradowy „blackface” w XIX wieku – wówczas wyśmiewano Afroamerykanów i zamykano w karykaturalnych postaciach pokroju Jima Crowa. W przypadku Azjatów jednym z bardziej znanych symboli mechanizmu jest rola Mickeya Roo-

Może grać czy nie może?



Obsadzenie Rachel Zegler w roli Śnieżki wzbudziło liczne dyskusje

„W „Przyjęciu” Peter Sellers zagrał Hindusa w sposób komediowy, przyciemniając też swoją karnację. Okazało się, że w Indiach produkcja spotkała się z pozytywną reakcją, a Indira Gandhi upodobała sobie cytą: „W Indiach nie myślimy o tym kim jesteśmy, wiemy kim jesteśmy!”.

neya w „Śniadaniu u Tiffany’ego”. Pan Yunioshi prezentuje groteskowy wizerunek Japończyka – profesor Jeffery Scott Mio zauważył podobieństwo wizerunkowe do karykatur z okresu II wojny światowej, a sposób mówienia bohatera dodatkowo pogłębiał efekt.

Posługiwanie się pewnymi uproszczeniami i ogólnymi wyobrażeniami w komedii jest uzasadnione, jednak cel i kontekst mają tu istotny wpływ na ocenę – stąd krytyka Hollywood. Warto jednak przytoczyć filmy będące w tym mniej oczywiste. W „Przyjęciu” Peter Sellers zagrał Hindusa w sposób komediowy, przyciemniając też swoją karnację. Okazało się, że w Indiach produkcja spotkała się z pozytywną reakcją, a Indira Gandhi upodobała sobie cytą: „W Indiach nie myślimy o tym kim jesteśmy, wiemy kim jesteśmy!”.

bohaterem, tworzy związek z piękną dziewczyną. Inaczej jest obecnie – przeczuwa, że jego dzieci odrzuciłyby film, nie będąc już usatysfakcjonowanymi zasadą „lepszy rydz niż nic”.

Istotność szerszej perspektywy w ocenie dzieł sprzed lat pokazuje także „Śpiewak Jazzbandu”. Al Jolson stosuje w nim „blackface”; z tego makijażu uczynił zresztą stały element swojego artystycznego wizerunku. Pomimo tego aktywnie działał na rzecz wsparcia czarnoskórych artystów, osobiście przyjaźnił się z Afroamerykanami i wstawiał się za nimi w razie potrzeby. Jako artysta promował czarną muzykę wśród białej publiczności, przecierając szlaki dla późniejszych muzyków represjonowanej społeczności.

Czas płynie, dyskusje trwają

Dzisiaj, w odmiennej sytuacji polityczno-społecznej, dyskusje na temat castingów są zażarte. Z jednej strony zwraca się uwagę na dalsze przykłady „whitewashingu”. Ponad 95 tys. osób podpisało się pod petycją przeciw castingowi Rooney Mary do roli rdzennej Amerykanki Tygrysiej Lilii w filmie „Piotruś. Wyprawa do Niby-

landii”. Karnacja aktorki jest wręcz błada, a sama Mara wyraziła żal z powodu występu. Krytycznie odebrano również angaż Scarlett Johansson do aktorskiej wersji kultowej mangi i anime „Ghost in the Shell”. Johansson odpierała zarzuty mówiąc, że jej postać jest cieleśnie maszyną, pozbawioną tożsamości etnicznej – w innym przypadku roli by nie przyjęła. Ridley Scott natomiast ujął sprawę bezpośrednio. Wobec oskarżeń o białą obsadę filmu „Exodus: Bogowie i królowie” stwierdził, że w innym przypadku nie dostałby finansowania.

Afroamerykanie wobec uciskającego ich systemu rozwinęli w latach 70. własny kinowy nurt – blaxploitation. Cechujące się niskim budżetem produkcje były autorsko niezależne lub przekładały motywy o odmiennym podłożu etnicznym na realia afroamerykańskie – tak jak „Blacula”. Wówczas odwrócenie mechanizmu whitewashingu” zdaje się być czymś zasadnym i zupełnie innym od systemowej dyskryminacji.

Color-blind casting obecny jest nie od dziś także w mainstreamowym kinie – chociażby w „Skazanych na Shawshank”. W ostatnich latach stał się jednak tematem polaryzującym i wywołującym ożywione reakcje przy takich decyzjach jak Halle Bailey w „Małej Syrence”. Remake kultowej animacji nie jest odosobnionym przypadkiem – Idris Elba jako Roland w „Mrocznej Wieży”, Jamie Foxx jako Mały John, David Gyasi jako Achilles. Patrząc na większość takich castingów negatywnie. Mimo,

że podłoże jest odmienne, sama praktyka przybiera kształt tego, z czym teoretycznie ma walczyć.

Nie razi mnie czarnoskóry Electro w „Spider Manie” – kolor skóry złoczyńcy jest tu jednak marginalny. Wymienione postacie Achillesa i Małego Johna są jednak silnie zakorzenione w konkretnej kulturze. Tego typu argumentacja stała się podstawą negatywnych reakcji na fabularyzowany dokument Netflixa „Królowa Kleopatra”. Obsadzenie w roli władczyni Egipcjan, wyrażony między innymi przez Najwyższą Radę Sta- rożytności. Na sytuację wpłynął z pewnością fakt, że serial jest dokumentem. Karnacja Kleopatry nie jest możliwa do stuprocentowego ustalenia, wielu naukowców wskazuje jednak, że królowa była z pochodzenia Greczynką, a ród Ptolemeusza dbał o zachowanie czystości krwi. Co ciekawe, kilka lat wcześniej krytyka spadła również na pomysłodawców dramatu historycznego „Cleopatra”, którzy ogłosili, że rolę tytułowej bohaterki zagra Izraelka Gal Gadot. Krytycy tej decyzji uznali aktorkę za zbyt białą.

Nie należę również do zwolenników angażów wspomnianych Halle Bailey czy Rachel Zegler. Mówimy o postaciach fikcyjnych, jednak wizerunek animowanej Arielki jest wyjątkowo utrwalaony w popkulturze, w jeszcze większym stopniu tyczy się to Śnieżki, która w baśni braci Grimm określona jest jako „biała jak śnieg”. Severus Snape z kolei kumuluje w sobie obie te przesłanki – zarówno w materiale źródłowym jego cera określana jest jako ziemista, jak i rola Alana Rickmana dała tak doskonałe wyrażenie postaci, że to właśnie w tej formie zapisał się w głowach fanów.

Tego typu angaże nie zmieniają sytuacji, pozbawiając wręcz mniejszości swoich reprezentantów. Zamiast stworzyć nowe postaci, ekranizować życiorysy wybitnych jednostek niedoreprezentowanych grup, adaptować dzieła powstałe w ich kulturze – angażuje się ich do ról o innej etniczności. Jenna Ortega w wywiadzie dla MTV powiedziała „Uwielbiam to, że w dzisiejszych czasach więcej kobiet dostaje główne role. Myślę, że to wspaniałe, ale powinniśmy mieć własne produkcje. (...) Nie chcę oglądać Jamie Bond, rozumiesz? Chcę zobaczyć nową, inną bohaterkę”. Pomysłmy zatem, ile rozgorzało dyskusji na temat rasowego aspektu danego castingu, a ile powstało produkcji, które zaoferowały mniejszościom coś faktycznie nowego bądź honorującego historię i kulturę związaną bezpośrednio z nimi.

Aleksander GRĘDA

A może to „Ty” jesteś problemem?

Szarmancki uśmiech, nieodparta charyzma i ten tajemniczy błysk w oku, który z jednej strony niepokoi, a z drugiej tylko zachęca do dalszej eksploracji. Opisany typ osobowości wpisuje się w kanon mężczyzny idealnego, silnie obecnego we współczesnej, literackiej fikcji. Problem pojawia się, gdy fantazje wykraczają poza granice wyobraźni i stają się przyczyną wewnętrznego konfliktu pomiędzy tym, co słuszne, a tym, co pożądane.



Penn Badgley żegna się z rolą Joeego Goldberga.

Ostatni sezon serialu „Ty” na platformie streamingowej Netflix przestrzega przed romantyzacją seryjnych morderców. Piąta już odsłona adaptacji powieści o tym samym tytule powraca linią fabularną do (anty)bohatera historii, Joe Goldberga, którego nie opuszcza wyjątkowe szczęście do wracania na właściwe tory. Dzięki nowej partnerce oraz jej szerokim wpływom, Joe odzyskuje swoje imię, syna z poprzedniego małżeństwa oraz swobodę życia w mieście, w którym wszystko się zaczęło. Wydawałoby się, że już nic nie będzie w stanie zakłócić tej pięknej sielanki, lecz przeszłość prędzej czy później zawsze daje o sobie znać.

Cenna lekcja w schemacie

Piąty i zarazem ostatni sezon serialu „Ty” miał swoją premierę 24 kwietnia. Składający się z dziesięciu odcinków finał historii podsumowuje losy Joe Goldberga, w którego ponownie wcielił się Penn Badgley. Mimo że fabuła zaskakuje widza nowymi elementami, które mają utrzymać go w emocjonalnej niepewności, produkcja zdążyła przypisać sobie łatkę powtarzalności – Joe poznaje kobietę, wewnętrznym monologiem dopisuje jej wyidealizowane cechy, które stopniowo napędzają jego obsesję i jednocześnie odsuwają od bieżącej partnerki, przysięga, że w końcu znajdzie prawdziwą miłość, a następnie... poznaje kolejną kobietę. Historia zatacza koło. Z jednej strony tego typu schematyczność mogłaby zostać uznana za minus całokształtu serialu, który dla łaknących zmiany widzów będzie wywołał nudny, lecz z drugiej pełni istotną rolę w przekazaniu motywu przewodniego produkcji: seryjny morderca nigdy się

Przypadek Teda Bundy’ego jest tylko jednym z wielu, który dowodzi, że społeczeństwo rzeczywiście mierzy się z problemem kompasu moralnego. Internauci masowo korzystali z platform społecznościowych, by współczuć Cameronowi Herrinowi, młodemu chłopakowi, który zabił matkę z dzieckiem podczas nielegalnego wyścigu.

nie zmieni, ponieważ w głębi duszy nie uważa, że w ogóle powinien to zrobić.

Dla generacji Z

Joe Goldberg prześwietał życie swojej następnej wybranki za pomocą mediów społecznościowych. Serial od samego początku stara się

skłaniać widzów do refleksji, co wrzucają do sieci oraz jak ktoś inny może te informacje wykorzystać. Piąty sezon, podążając za współczesnymi trendami TikToka, Instagrama, transmisji na żywo oraz wykorzystania hashtagów, w pewnym momencie skupia wszystkie poprzednie wątki oraz motywy

wokół platform społecznościowych. Dzięki nim Joe raz wygrywa, a raz przegrywa; czasem wykorzystuje je na swoją korzyść, by później zrozumieć, że w internecie nic nie ginie. Finał serialu charakteryzuje się scenariuszem, który zdaje się być dostosowany do cyfrowej generacji Z, przez co nie każdemu może przypaść do gustu. Ten, kto doceniał inteligencję oraz umiejętności zatuszowania wszystkich śladów zbrodni Joe’ego, które były szczególnie widoczne w poprzednich sezonach, w tym przypadku może się rozczarować. Media społecznościowe z największego asa w rękawie głównego bohatera szybko przemieniają się w jego najgorszego wroga.



Sympatyzowanie z mordercą nie jest zwykłym wymysłem fikcji.

Ostatni sezon miał ponoć wiele alternatywnych zakończeń, z których ostatecznie trzeba było wybrać tylko jedno. Sam Penn Badgley, wcielający się w postać Joe Goldberga, postanowił zwrócić się do wszystkich widzów, którzy do samego końca usprawiedliwiali czyny głównego bohatera i co więcej – fantazjowali o podobnym mężczyźnie w swoim życiu. Pomimo że serial spotkał się ze zróżnicowanym odbiorem, ostatnia wiadomość skierowana do widowni, zdaje się jednoczyć zarówno krytyków, jak i zwolenników serii. „Być może mamy problem jako społeczeństwo. Może powinniśmy naprawić to, co w nas zepsute” – myśli Joe, który na sam koniec kieruje spojrzenie prosto w kamerę – „Może to nie ja jestem problemem. Może to ty nim jesteś”.

Niedaleko pada fikcja od rzeczywistości

Choć usprawiedliwianie czynów sprawcy tylko dlatego, że jest on atrakcyjny, wydaje się rzeczą wyjętą prosto z fikcji, takie sytuacje zdarzają się częściej, niż można to sobie wyobrazić. Mowa nie tylko o czasach współczesnych; tendencje do sympatyzowania z mordercą społeczeństwo wykazywało choćby w przypadku jednego z najsłynniejszych i najprzystojniejszych zabójców w USA, Teda Bundy’ego. Jego charyzma oraz atrakcyjny wygląd wzbudzały zaufanie zarówno pośród ofiar, jak i osób, które mogły podejrzewać go o dokonanie zbrodni. Takie świadome wybielanie sprawcy jest silnie powiązane z psychologicznym efektem aureoli. Jest to zjawisko, które sprawia, że pojedyncza pozytywna cecha danej osoby wpływa na nasze postrzeganie jej jako ogólnie lepszej, godnej zaufania. Najczęściej dotyczy to cech takich jak atrakcyjność fizyczna, sposób mówienia lub status społeczny. Nasz umysł niejako dopowiada sobie resztę – skoro ktoś wygląda porządnie i zachowuje się miło, to musi być również godny zaufania.

Przypadek Teda Bundy’ego jest tylko jednym z wielu, który dowodzi, że społeczeństwo rzeczywiście mierzy się z problemem kompasu moralnego. Internauci masowo korzystali z platform społecznościowych, by współczuć Cameronowi Herrinowi, młodemu chłopakowi, który zabił matkę z dzieckiem podczas nielegalnego wyścigu. Jakiś czas później, ulubieńcem internetu stał się Luigi Mangione, oskarżony o zabójstwo dyrektora generalnego firmy ubezpieczeniowej. Wszystkie te czyny przestają mieć jednak znaczenie, gdy dokonuje ich osoba o nieprzeciętnej aparycji. Jak więc stwierdził Joe Goldberg w finałowej scenie, może to akurat my jesteśmy problemem.

Aleksandra MIERZWA

Myśląc o współczesnym horrorze i jego podgatunkach, nie można uniknąć skojarzeń z kinem niezależnym, szczególnie wczesną działalnością słynnego Studia A24. Filmy te rezygnują z opartego na jump scare'ach systemu straszania, stawiając na budowanie napięcia w bardziej subtelny sposób. W dzisiejszych repertuariach kinowych nie brakuje jednak także bardziej klasycznych straszaków, które nierzadko okazują się satysfakcjonujące na poziomie rozrywkowym. Tylko akurat ten do nich nie należy.

Witamy w świecie, w którym adaptacje nie muszą być nawet formalnie czy fabularnie zbliżone do swoich oryginałów. Po „Until Dawn” nie spodziewałam się wiele – pierwsze przeczytane przeze mnie recenzje były bowiem wystarczająco obrazowe w swojej krytyce, żeby pozbawić mnie wygórowanych oczekiwań. Mimo wszystko, udając się na seans, miałam w pamięci ukochaną grę, od której tak naprawdę zaczęła się moja przygoda z tym uniwersum. Myślałam o nieprzespanych nocach, spędzonych na moralnych rozważaniach i strachu przed wendigo czyhającym w kącie pokoju. Wspominałam, jak skrajne emocje wzbudzały we mnie bohaterowie, jak bardzo zaangażowałam się w ich historię, jak łatwo było mi ich faktycznie polubić.

Film reklamuje się jako ekranizacja produkcji Supermassive Games, wydanej w 2015 roku na konsole PlayStation. To jeden z lepszych slasherów w świecie gier, opowiadający, zgodnie z prawdami podgatunku, historię grupy przyjaciół, których w małym domku w górach zaczynają spotykać przerażające i niewyobrażalne rzeczy. Szeroko chwalonym zabiegiem zastosowanym w produkcji jest konieczność podejmowania pod presją moralnie skomplikowanych decyzji, których konsekwencje mają realny, często druzgocący wpływ na rozgrywkę. Mamy jedną szansę na uratowanie (lub nie) każdego z bohaterów, często musząc panować nad własnym oddechem oraz drżeniem rąk, bowiem poruszenie kontrolerem w sytuacji zagrożenia jest w stanie spisać daną postać na straty.

Z koncepcji uwielbianej przez graczy od dekady wyszła niestety filmowa wydumka. David F. Sandberg, reżyser naprawdę udanego



Oprócz filmu niedawno wyszedł remaster gry, dostępny także na PC.

„Główna bohaterka dwukrotnie odbywa z byłym chłopakiem rozmowę o tym, że „jeśli ma się tylko jedną szansę na życie, bardziej się je docenia”. Niesamowite wnioski, szkoda, że w praktyce całkowicie niewykorzystane.

„Kiedy gasną światła” oraz niefortunnego „Shazama!” pokazał, iż jego filmowe sukcesy mogły być jedynie kwestią przypadku. Pierwszy z wymienionych, choć nie jest arcydziełem, doskonale buduje napięcie, a nawet użycie jump scare'ów specjalnie w nim nie przeszkadza. Późniejsza „Annabelle: Narodziny zła” także, na przekór tytułowi, zła nie jest. W adaptacji „Until Dawn” brakuje jednak prawie wszystkich elementów, które gwarantują sukces mainstreamowemu horrorowi i których przecież reżyser potrafi używać. Najbardziej boli narracja, zupełnie pozbawiona

suspensu czy logiki. Niekonsekwentnie prowadzone przesłoki czasowe uzupełniane są nagraniami z telefonów bohaterów, co sprawia wrażenie, jakby twórca miał pomysły na konkretne sceny, ale nie wystarczyło mu czasu lub chęci, aby wpleść je do właściwej akcji. Same postaci zarysowane zostały za pomocą maksymalnie dwóch cech osobowości, najczęściej mających w skrajnie stereotypowy sposób reprezentować osobniki z pokolenia Z. Jestem jednak w stanie przymknąć oko na taki system kreowania bohaterów, gdyż zabieg ten był i będzie nieodłączną częścią

horrorów z podgatunku, jakim jest slasher.

Trudno wybaczyć z kolei zupełnie nieangażującą fabułę, która w ogólnym rozrachunku doprowadza do tego, że widz po seansie pozostawiony jest wyłącznie z poczuciem frustracji oraz przykrą świadomością zmarnowania swego czasu i pieniędzy na wyjście do kina. Wiadomo, że film stworzony po to, aby był niezobowiązującą rozrywką nie musi dostarczać nam głębokich refleksji, tu jednak przez znaczną część trwania seansu nie ma na czym się dobrze bawić. Chyba, że jako zabawę potraktować można moment, w którym odbiorca przytłoczony całym ekranowym absurdem w końcu decyduje, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko się śmiać. Koncept fabularny oparty na kilkukrotnych powtórzeniach tego samego dnia i próbie przeżycia go do złudzenia przypomina temat

przerabiany już setki razy, choćby w popularnym „Śmierć nadejdzie dziś”. W zapożyczeniach i inspiracjach nie ma oczywiście nic złego, jeśli robi się to z sercem. Spotkałam się z kilkoma komentarzami, iż „Until Dawn” jako autonomiczne dzieło radzi sobie naprawdę dobrze, będąc małym hołdem dla kilku podgatunków horroru jednocześnie. Nie jestem w stanie podzielać tego entuzjazmu, gdyż czuję, że brak tu miłości do gatunku, a zbyt dużo desperackich prób wymieszania wszystkich znanych reżyserowi odwołań z nadzieją, że coś z tego wyjdzie. Niestety niekonsekwencja i zwyczajna nuda wybijają się na pierwszy plan, skutecznie niwecząc wszelkie wątpliwe starania.

Głównym zarzutem jest jednak sam fakt doklejenia filmowi łatki „adaptacji” gry, z którą konceptualnie ma niewiele wspólnego. Grupka przyjaciół znajduje się w zupełnie innym domku, z kompletnie odmiennych powodów, bowiem ekranizacja traktować ma o dziewczynie, której siostra zaginęła przed rokiem w tajemniczych okolicznościach. Znajomi jadą z nią do miejsca, w którym widziana była ostatnim razem, próbując pomóc młodej kobiecie przeżyć traumy. I choć może pomysł brzmi ciekawie na papierze, zrealizowany został bez choćby namiastki głębi. Główna bohaterka dwukrotnie odbywa z byłym chłopakiem rozmowę o tym, że „jeśli ma się tylko jedną szansę na życie, bardziej się je docenia”. Niesamowite wnioski, szkoda, że w praktyce całkowicie niewykorzystane.

Nadal nie potrafię zrozumieć, dlaczego z gry, która faktycznie daje każdemu wyłącznie jedno podejście, zrobiono generyczny straszak bez polotu. Nieumiejętność lub niechęć do ciekawszego, bardziej pogłębionego (choćby o kwestie moralności) potraktowania tematu doprowadziły do tego, iż wytrwać do końca filmu było równie trudno, jak bohaterom przetrwać do świtu.

Maria PILARSKA



David F. Sandberg – reżyser Until Dawn

Zdjęcia: Dariusz Fot. goodfon.com

Ponadczasowe „American Psycho”



Czy „American Psycho” można uznać za dzieło ponadczasowe?

Jedna z najbardziej kontrowersyjnych powieści XX wieku. Szokująca swoją brutalnością oraz czarnym humorem satyra na ówczesną rzeczywistość. Po ponad trzech dekadach opisana przez Breta Eastona Ellisa historia wciąż przeraża – nie tylko za sprawą postaci seryjnego mordercy. Czy w erze Instagrama i LinkedIna „American Psycho” staje się dziełem ponadczasowym?

Akcja powieści zabiera czytelnika do Nowego Jorku końca lat 80.. Miasta, w którym świat ekskluzywnych restauracji oraz drogich garniturów funkcjonuje równolegle ze światem bezdomności, wysokiej przestępczości i brudnych ulic. Opisywana przez Ellisa metropolia ma niezwykle niepokojący charakter. To wyniszczające człowieka piekło. Nie bez przyczyny pierwszy rozdział zaczyna się od słów: „Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy tutaj wchodzić”.

W takich realiach funkcjonuje Patrick Bateman. Narrator i główny bohater powieści to uosobienie sukcesu, wielkich pieniędzy i jeszcze większych pozorów. Jest młodym, przystojnym maklerem z Wall Stre-

et, który preferuje wygodny styl życia. Jednak pod maską człowieka niemal idealnego można znaleźć potwora. Istotę nękaną poczuciem pustki oraz narastającym pragnieniem przemocy. Mężczyzna jest seryjnym mordercą, który do drugiego człowieka czuje jedynie pogardę. Bateman to postać głęboko zaburzona, ale nikt z jego otoczenia nie potrafi tego dostrzec. Wszystkie niepokojące zachowania lub wypowiedzi spotykają się z brakiem jakiegokolwiek reakcji. Czy nikt tego nie widzi, czy może wszyscy to ignorują?

Wśród ludzi sukcesu

Patrick należy do grupy określonej terminem yuppie, czyli młodych, wykształconych i dobrze opłacanych specjalistów. Pojęcie to odnosi się przede wszystkim do pokolenia, które weszło na rynek pracy w USA lat 80. Charakterystycznymi cechami dla tej grupy był skrajny indywidualizm, zamiłowanie do luksusu i oparcie swojego życia na sukcesach zawodowych. Na kartach powieści wielokrotnie można dostrzec, że jest to idealne środowisko dla takiego psychopaty jak Bateman. Otaczają go ludzie, dla których liczy się wyłącznie bogactwo oraz społeczny status. Wszelkie rozmowy są płytkie, krążą wokół drogich restauracji, ubrań lub pracy. Nikt nie zadaje pytań ze szczerego zainteresowania drugim człowiekiem, nikt nie buduje prawdziwych relacji, a przede wszystkim nikt uważnie nie słucha. W towarzystwie każdy jedynie wygłasza

„American Psycho” ukazało się w 1991 roku. Od wydania powieści minęło ponad 30 lat, a świat w tym czasie znacznie się zmienił. Mimo to książka nadal szokuje i obrzydza czytelnika zgodnie z pierwotną intencją autora. Jest w niej prawdziwe oblicze przemocy, której nie znajdziemy w typowej książce kryminalnej.

monolog o samym sobie. W książce Ellisa nie brakuje długich rozmów pomiędzy postaciami, w których Patrick wprost przyznaje się do popełnionych zbrodni. Nieraz też obraża swoich rozmówców. Wszystko to jest jednak pozostawione bez jakiegokolwiek reakcji. Dialog toczy się dalej, jak gdyby nagle wtrącenie o zamordowaniu bezdomnego nigdy nie miało miejsca.

„American Psycho” jest odważną krytyką nie tylko takich osób jak Patrick. Uderza też w społeczeństwo, które swoją obojętnością pozwala im działać bezkarnie. Ostrzega przed biernością w stosunku do drugiego człowieka i ubóstwianiem materialnego sukcesu. To właśnie w takim środowisku potwór nie musi się ukrywać – wystarczy mu atrakcyjny garnitur i dobrze płatna praca.

Czasy pokolenia yuppie już dawno minęły. Jednak czy we współczesnym świecie, także w Polsce, nie brakuje ludzi o podobnym podejściu do życia? Dzisiejszy świat również premiuje chłodną efektywność i wygodną konsumpcję. Jedynie forma okazywania statusu przeszła od analogowej do cyfrowej. Swoje piękno i obiad w restauracji można dziś pokazać na

Instagramie, a sukcesy zawodowe na LinkedIn. Patrick Bateman zdaje się pasować do serwowanego nam przez media obrazu sukcesu. Ma dokładnie zaplanowany dzień, perfekcyjnie skrojony wizerunek i jest skupiony na swoich celach. Nie można też zapominać o jego absurdalnej porannej rutynie, którą Ellis wyśmiał poprzez samo jej opisanie na kilka stron.

Konsumpcja sensem życia

Autor nie tylko opowiada o czynach Batemana, ale również wypełnia po brzegi jego świat. Opisy ubrań, potraw i kosmetyków nie są jednak tylko tłem dla wydarzeń fabularnych, lecz istotnym elementem narracji. Dla tytułowego psychopaty nadmierna konsumpcja to cel życia. Ellis poprzez obsesyjnie dokładne opisy każdej rzeczy wymownie podkreśla, że w tym świecie tylko bogactwo się liczy.

Przez wspomniane opisy książka przypomina serię niekończących się pasm reklamowych. Pod natłokiem informacji na temat garniturów czy zegarków znikają kwestie, które powinny być naprawdę ważne. Znikają ludzkie tożsamości, a nawet i liczne morderstwa dokonywane

przez Patricka. Pozostają jedynie przedmioty. W dodatku sam język tych opisów jest precyzyjny i pozbawiony emocjonalnego charakteru. Nie jest to coś typowego dla powieści z narracją pierwszoosobową. Ellis doskonale oddaje tym nie tylko psychopatię Batemana, ale także powierzchowność otaczającego go świata. Konstruuje karykaturę społeczeństwa, w którym wartość człowieka określana jest miarą jego (nadmiernej) konsumpcji. Czy nie brzmi to znajomo w czasach Black Friday?

Nie jest przypadkiem, że przemoc stosowana przez Batemana dotyczy części ludzi gorzej sytuowanych. Głównym powodem takiego stanu rzeczy jest smutna rzeczywistość. Zniknięcia ludzi z marginesu przykuwają mniejszą uwagę. Oczywiście nie brakuje też ataków na przedstawicieli klas wyższych, ale te należą raczej do rzadkości. Kluczowe jest tu zabójstwo kolegi z pracy – Paula Owena (w filmowej adaptacji Allena). Śmierć tego człowieka zwróciła znacznie większą uwagę niż wszystkie inne razem wzięte. Spowodowała też pojawienie się prywatnego detektywa, który jako jedyny realnie mógł powstrzymać Patricka.

Brutalność bez daty ważności

„American Psycho” ukazało się w 1991 roku. Od wydania powieści minęło ponad 30 lat, a świat w tym czasie znacznie się zmienił. Mimo to książka nadal szokuje i obrzydza czytelnika zgodnie z pierwotną intencją autora. Jest w niej prawdziwe oblicze przemocy, której nie znajdziemy w typowej książce kryminalnej. Ellis poprzez obsadzenie Batemana w roli narratora pisze o zbrodniach w sposób chłodny oraz niepokojąco skrupulatny. Ta książka wprost nie moralizuje, ani nawet nie daje rzeczywistego zakończenia. Pozostawia czytelnika z uczuciem zagubienia i krótkim hasłem: „To nie jest wyjście”.

W kwestii szokowania przemocą ponadczasowość „American Psycho” to dobry znak. Jest dowodem na istnienie granic, których pomimo lat nadal nie chcemy przekraczać. I słusznie. Zmieniły się stroje i technologia, ale powierzchowność relacji, przemoc oraz chciwość zostały. Najpewniej na zawsze zostaną. Ellis nie pozwala nam o tym zapomnieć.

Jakub SARNOWSKI

Forum wymiany myśli studentów WNPID

Fenestra

Wydawca: Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM, ul. Umultowska 89a, 61-614 Poznań.

Redakcja: Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa, Uniwersytetu Poznańskiego 5, pokój 144, 61-614 Poznań

email: fenestra.uam@gmail.com, **facebook:** www.facebook.com/gazeta.fenestra

ISSN 2658-2023



Redaktor naczelny:

Kacper Zieleniak

Zastępczyni redaktora

naczelnego:

Oliwia Górka

Redaktor działu

polityki

i społeczeństwa:

Oskar Kmak

Redaktor działu sport:

Igor Dziedzic

Redaktor działu kultura

/Szef działu foto:

Szymon Filipiak

Sekretarz redakcji:

Oliwia Górka

Koordinator

ds. warsztatów:

Marcin Klonowski

Korekta:

Hanna Jaskuła

Stanisław Karalus

Martyna Kościelska

Julia Kozerska

Jan Mazurczak

Oliwia Syrek

Amelia Ogrodowczyk

Redakcja:

Szymon Bernas

Damian Biegański

Oliwia Błazik

Marianna Czmochowska

Bartosz Dworczak

Szymon Filipiak

Oliwia Garczyńska

Marcelina Górka

Aleksander Gręda

Zuzanna Grzegorzewska

Wojciech Jaśkowiak

Serhii Khodieiev

Martyna Kościelska

Nicole Krakowska

Kacper Lawiński

Oliwia Maziopa

Aleksandra Mierzwa

Olimpia Oliik

Roch Orzechowski

Valeria Petrovskaya

Maria Pilarska

Piotr Rydz

Jakub Sarnowski

Weronika Szczukiewicz

Leo Targoni

Małgorzata Walkowiak

Zofia Wojewoda

Maja Zielińska

Julia Zygmunt

Opiekunka redakcji:

Aleksandra Konieczna

Skład

Tomasz Szukała

Strona internetowa

www.gazetafenestra.pl

Facebook

www.facebook.com/gazeta.fenestra

Instagram

gazetafenestra

Twitter

/twitter.com/FenestraGazeta

Druk

Drukarnia w Bydgoszczy

ul. Grunwaldzka 229

85-438 Bydgoszcz

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania nadesłanych tekstów.